Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Ciąg dalszy).

Dla amatora, który w myśliwskich celach do Indyj się wybiera, najważniejszym, jedynym niemal warunkiem, *conditio sine qua non* uzyskania pożądanego rezultatu, są dobre listy, polecające do wpływowych i kompetentnych osób anglo-indyjskiego świata, a względnie stosunki w tym świecie. Bez listów ani kroku naprzód, a i z listami również niełatwo — *ut litera docet*. Ci panowie w Kalkucie tak są znudzeni przybywającymi z Europy amatorami polowania, domagającymi się natarczywie tygrysów, że i najlepsze listy w danej chwili nie pomogą. Niedalej jak w roku bieżącym, jeden z austryackich panów, który kilkakrotnie do Indyj jeżdżąc, zdobył tam świetne myśliwskie trofea i liczne posiada stosunki, telegrafował do wicekróla z prośbą o urządzenie mu polowania w Assamie. Wicekról miał wyrzec, otrzymawszy depeszę: „Czy oni myślą, żem ja łowczy, bym im zwierzyny dostarczał?“ — i kazał mu odpowiedzieć, że w roku bieżącym cholera w Indyach grasuje i że mu przyjeżdżać nie radzi *(sic)*. Bez listów środki materyalne też nic nie pomogą; zapomniałem bowiem wspomnieć o jeszcze jednej ważnej okoliczności, utrudniającej urządzenie polowania na własną rękę, mianowicie o słoniach, bez których o systematycznem polowaniu na tygrysy mowy być nie może, chociażby bowiem — jak w środkowych Indyach — teren nie pozwalał na ich użycie do naganki i pod myśliwych, kilka ich zawsze nieodzownie mieć trzeba w razie postrzelenia zwierza i śledzenia za tropem postrzałka. Za pieniądze zaś słoni ani kupi, ani nie najmie, gdyż — jak już wyżej wspomniałem — są one wyłączną niemal własnością albo Maharadżów, albo armii angielskiej. Gdyby nawet bez słoni obejść się można, urządzenie wyprawy myśliwskiej na własną rękę, bez pomocy kompetentnych osób lub wszechwładnych organów rządu, dla cudzoziemca, na ograniczony czas do Indyj przybywającego, nieznającego krajowego języka, miejscowych ludzi, stosunków, i niewiedzącego gdzie zaczem się obrócić, należy — ze względu na wątpliwy rezultat — do zadań tak trudnych, że go nikomubym próbować nie doradzał.

Obawiam się, by łaskawy czytelnik nie myślał, że to przesada z mej strony, wywołana może skutkiem wyjątkowo osobiście doświadczonych trudności i że rzecz cała nie tak trudna, jak ją opisuję. Dalibóg, że nie przesada! Niedalej jak w roku zeszłym, przybył z Włoch jakiś amator myśliwy, zaniedbawszy się zaopatrzyć w potrzebne listy polecające. Zapalony widocznie do polowania, majętny człowiek, nie szczędził grosza i funtami rzucał, by tygrysa dostać, wysiedział się kilka tygodni w Sunderbandach pod Kalkutą i bez tygrysa do Europy powrócił.

Warto tu słówkiem o tych Sunderbandach wspomnieć. Są to rozległe przestrzenie między Kalkutą a brzegiem morza położone, oblane zewsząd ramionami Gangesu, który

wpadając do zatoki Bengalskiej, tworzy szeroką deltę i daleko wokoło wody swe rozlewa. Grunt tu moczarowaty, gęstą trzciną i wijącem się zaroślem pokryty, poprzerzynany we wszystkich kierunkach naturalnemi kanałami Gangesu, okolica prawie nieprzystępna, mało zaludniona, dzika i niezdrowa. Matnia to tygrysów, lecz i siedziba zarazem złośliwych gorączek i zabójczej febry *(febris paludosa).* Obszary te odstraszają podróżnych i myśliwych i mimo swego położenia obok ogromnego miasta w pobliżu europejskiej cywilizacyi, dotąd jeszcze nie są należycie zbadane. Polowanie na tygrysy w Sunderbandach nader niebezpieczne, gdyż tylko piechotą w gęstych zaroślach i głębokim mule śledzić za nimi można. Kronika myśliwska najwięcej fatalnych wypadków w Sunderbandach notuje, mało też jest myśliwych, mających ochotę w dżunglach Sunderbandów oko w oko z tygrysem się spotkać. Polują nań tam zwykle na zasadzkę z drzewa przy świetle księżyca, gdy tygrys do podłożonego padła lub przywiązanej na przynętę krowy przychodzi; strzał jednak w nocy niepewny, często niemożliwy, a tygrys chybiony lub postrzelony zazwyczaj uchodzi i przepada w niedostępnych gąszczach i uroczyskach. Wogóle polowanie w Sunderbandach ryzykowne i nikomu go doradzać ani zalecać niemożna, chociaż jedyna to może miejscowość, w której dla bliskości Kalkuty wyprawę na własną rękę urządzić jest względnie łatwiej, rezultat jednak zwykle słaby lub żaden. Książę Henryk Orleański w 1887 r. odważnie się w te dzikie i niezdrowe miejsca zapuściwszy, kilka tygodni tam przesiedział, lecz mimo całej forsy swej wyprawy, po wielu trudach tylko jednego tygrysa na współkę z dwoma towarzyszami rozciągnąć potrafił.

Starałem się skreślić powyżej w ogólnych zarysach trudności, czekające cudzoziemca, wybierającego się w myśliwskich celach do Indyj. Powtarzam, że jako jedyny skuteczny środek do uzyskania jakiegokolwiek pod tym względem pożądanego rezultatu, uważam listy polecające do kompetentnych osób, mieszkających w Indyach, względnie stosunki w tym świecie; tyle bowiem w Europie mówią o polowaniach w Indyach, tyle fałszywych o tem wieści krąży a tak mało osób z wyjątkiem tych, które same doświadczyły, o rzeczywistym stanie rzeczy poinformowanych, że nieraz wręcz przeciwnych prawdzie pojęć nabrać można, co w przyszłości może się stać powodem przykrych zawodów i gorzkich rozczarowań.

O innych koniecznych wymogach wycieczki do Indyj obszerniej nie mówię, gdyż te się same przez się rozumieją, jak naprzykład: znajomość języka angielskiego, odporna wytrzymałość na palące promienie słońca, na którego piekielny skwar nieraz dzień cały wystawiać się potrzeba, wreszcie środki materyalne. Koszta jednak nie są tak wielkie jak nieraz o tem w Europie słyszałem i sam sobie wyobrażałem, zwyczajnie bowiem albo się jest gościem i wtedy prócz datków dla służby nic nie kosztuje, albo gdy się jest uczestnikiem większej wyprawy, koszta jej niezbyt zresztą wielkie, na kilka osób się rozdzielając, nieznaczną kwotę na głowę wynoszą. Rzecz prosta, mówię tu o ścisłych kosztach samego polowania w odróżnieniu od ogólnych kosztów podróży, te ostatnie bowiem tak są względne i od danej osobistości zależne, że trudno co do nich pewną regułę postawić, wogóle zaś warunki życia znacznie tańsze niż w Europie.

W Kalkucie tydzień szybko minął. Zawarte znajomości dały mi sposobność poznania nieco towarzyskiego świata w tem mieście. Pierwsze w niem miejsce zajmuje naturalnie wicekról. Najwyższy urzędnik rozległego imperyum, przedstawiciel majestatu cesarzowej Indyj, na którego skinienie pochylają się kornie głowy 260 milionów krajowych poddanych, żyje margrabia Landsdowne w królewskiej iście rezydencyi, jak monarcha otoczony azyatycką pompą i przepychem, jakiegoby się niejeden panujący w Europie nie powstydził. Na ulicy otacza go liczna eskorta wspaniałej gwardyi przybocznej, w pałacu roi się od złotem szamerowanych sług i adjutantów, przestrzegających reguł dworskiej etykiety — jednem słowem dwór królewski.

Od dawiendawna, od czasów gdy Anglia Indye zagarnęła, należy do zasad jej rządów nadawać wicekrólewskiej posadzie monarsze niemal prerogatywy i splendor jaknajjaśniejszy, który widomą niejako aureolą otaczając głowę przedstawiciela królowej, ma wciąż przypominać tak wrażliwym na zewnętrzne blaski krajowym Rajahom i milionom poddanych, potęgę, bogactwo i siłę wielko-brytańskiej monarchini. Jakby na zrównoważenie tych wyjątkowych prerogatyw istnieje z drugiej strony długą praktyką do siły prawa podniesiony zwyczaj, mocą którego nikt dłużej lat pięciu godności wicekróla zajmować nie może i podczas tego okresu obowiązany powierzonego mu kraju nie opuszczać, chyba w wypadkach choroby lub niezwykle ważnej przyczyny. Margrabia Landsdowne od półtora roku w Indyach bawi, człowiek to w prywatnem życiu nader miły, uprzejmy i przyjacielski. Drugie po nim stanowisko w Kalkucie zajmuje namiestnik Bengalu, jednej z trzech prowincyi a raczej ogromnych krajów tak zwanych prezydencyi (Bombaj, Kalkuta, Madras), na które anglo-indyjskie posiadłości administracyjnie są podzielone.

Jako miasto nie przedstawia Kalkuta nic szczególnie oryginalnego do zwiedzenia. Nazwał je ktoś „miastem pałaców“, lecz napróżno tam pałaców szukałem. Prócz rezydencyi wicekrólewskiej i namiestnika Bengalu, tak zwanego „Belwederu“, kilka okazałych gmachów rządowych, muzeum indyjskiego przemysłu i dwóch czy trzech szerokich ulic z pięknemi sklepami w europejskiej dzielnicy, cała Kalkuta to stek brudnych, odrapanych domów i nędznych lepianek, w których żyje i porusza się jak w ogromnem mrowisku siedmiusettysięczna ludność krajowa, stanowiąca $^{9}/_{10}$ mieszkańców tej stolicy anglo-indyjskiego cesarstwa.

Autochton Bengalczyk jest wyłącznym tu niemal przedstawicielem hindostańskiej rasy: ciemny to i brzydki naród, na bardzo niskim stopniu moralnego rozwoju i cywilizacyi stojący; ma i on swoję inteligencyą tak zwanych „Babon“, lecz ci mają być jeszcze gorsi, niż ich ciemni bracia.

Niema w Kalkucie ani bogatych bazarów Bombaju, ani tej rozmaitości ras i ciekawych obrazów życia ulicznego, tak zajmujących w zachodniej metropolii.

W środku miasta nad rzeką Hugli, jednem z ramion Gangesu, którego szerokie łożysko, największym statkom dostępne, łączy Kalkutę bezpośrednio z morzem, leży obszerny plac zielonej murawy z kołem kursowem we środku, na którym odbywają się kilka razy do roku wyścigi koni arabskich. W czterech rogach placu, zwanego „majdanem“, wznoszą się piękne pomniki angielskich wojowników minionej przeszłości, których pamięć łączy sią chlubnie z historyą krwawych walk, jakie Anglia do niedawna musiała staczać, nim skruszona potęga krajowych władców i całego narodu pod jarzmem zdobywcy z Zachodu pochylić się miała. Nigdzie panowanie białej rasy nad krajową tak w oczy nie bije, jak właśnie w Kalkucie, rezydencyi centralnego rządu. Europejczyk, ktoby on nie był, byle biały i po europejsku ubrany, to pan i władca. Stójkowy poli-

cyant rozpędza przed jego krokami czarną gawiedź uliczną, warta broń przed nim prezentuje, „sepaj“ czyli żołnierz krajowiec oddaje mu ukłon wojskowy, a pokorny Bengalczyk w pas się przed nim pochyla.

Dziwnem się to z początku wydaje, lecz głębiej się zastanowiwszy, nasuwa się pytanie, czy nie w tem właśnie postępowaniu leży cały sekret polityki angielskiego rządu, który niewielką stosunkowo armią i kilku tysiącami europejskich oficerów i urzędników trzyma w karbach łagodnej lecz despotycznej potęgi dwieście sześćdziesiąt milionów krajowej ludności.

Jedno z najwięcej godnych widzenia miejsc w Kalkucie, to ogród botaniczny a raczej ogromny, ślicznie utrzymany park, zawierający najciekawsze okazy roślinne i fauny całego niemal świata. W życiu podobnego ogrodu nie widziałem.

Dosyć czasu zajęły mi w Kalkucie rozmaite przygotowania do wycieczki do Goony, kupno niektórych niezbędnych do obozowego życia rekwizytów, jak: łóżek polowych, pościeli, nieco konserwów na drogę i t. d., wreszcie kupno ogiera arabskiego, o czem na wstępie tych notatek wspomniałem, i zarządzenie jego wysyłki do Europy.

Przyjąłem też służącego krajowca, którego mi dobrze polecono jako wprawnego sługę w obozowem życiu myśliwskiej wycieczki; rzeczywiście użytecznym się okazał i zatrzymałem go do końca mego pobytu w Indyach. Nazywał się Majkel, czarny był jak murzyn, pochodził z Birmy i dłuższy czas miałem go za wyznawcę Budhy, po niejakim czasie dopiero wykryło się, że Majkel w drugiem już pokoleniu najlepszy w świecie rzymski katolik, dumny był bardzo z tego, nosił różaniec i wielkie doń okazywał nabożeństwo, słabe miał jednak pojęcie o naszej wierze i jej praktykach religijnych. Mnóstwo się w Indyach między krajowcami katolików spotyka, przeważnie mieszańców portugalskiego pochodzenia. Są to pozostałości dawnych rządów Portugalii, która długo przed zaborem angielskim rej w Indyach wodziła i do dziś dnia niewielkie terytoryum Goa na zachodnim brzegu półwyspu posiada; tamże rezyduje arcybiskup portugalski, głowa indyjskiego katolickiego kościoła. Niemało też przyczyniają się do rozszerzenia naszej wiary między krajowcami niezmordowane starania i prace katolickich misyonarzy, tych istnych bohaterów obowiązku i męczenników powołania. Długiego jednak jeszcze czasu będzie potrzeba, zanim te nowe owieczki kościoła potrafią wznieść się moralnie i otrząsnąć ze zwyczajów i przesądów pogaństwa, z którem od tylu wieków się zżyli.

Pułkownik Gerard donosił mi w ostatnim liście, że mnie oczekuje w pierwszych dniach marca via Gwalior. Dobrze się składało, gdyż gwaliorski rezydent angielski major Barr, otrzymawszy o mnie list od jenerała Robertsa, telegrafował mi, że mnie po drodze do Goony u siebie przyjmie, podróż do Goony ułatwi a nawet koło Gwalioru jeden dzień polowania ułoży.

Mając ostatki lutego przed sobą i pokończywszy zajęcia w Kalkucie, zużytkowałem tych kilka wolnych dni na wycieczkę do Dardżilingu w góry Himalaja.

Opuściwszy o 3 po południu Kalkutę, staje się nazajutrz rano na stacyi Siliguri, gdzie się przesiada na tak zwaną kolej himalajską; jestto raczej tramwaj parowy niż kolej, z odkrytemi małemi wagonkami na wąziutkim torze.

Ranne mgły zasłaniały horyzont gdyśmy z rozbudzoną ciekawością opuścili Siliguri. Przez pierwszych kilka mil droga prowadzi przez uprawne pola, plantacye indigo i herbaty, którą to roślinę tu po raz pierwszy w ziemi ujrzałem. Wtem mgliste zasłony, zwalczone promieniami wschodzącego słońca, rozwarły się przed nami, odkrywając cudny widok na piętrzący się woddali łańcuch gór himalajskich. Od tego miejsca zaczęła się najfantastyczniejsza jazda, jaką w życiu widziałem i wobec której wszystkie Simmeringi i Rigi-Kulmy dziecinną się wydają zabawką. Miniaturowy nasz pociąg, sapiąc i hucząc przeraźliwie, drapie się pod górę, to jak wąż wijąc się serpentyną coraz wyżej, wąskie zakreślając koła, to wspinając się wprost na pochyłe i nieprawdopodobnie strome stoki. Mijamy ciemne, wysokopienne lasy (jedyne lasy w prawdziwem tego słowa znaczeniu, jakie w Indyach widziałem), podszyte bujną i gęstą roślinnością południowej strefy, temperatura zaczyna się powoli zniżać, przyjemny chłód nas przejmuje, sprawiając prawdziwą rozkosz po kalkuckich upałach. Tablica drogowa wskazuje cztery, pięć tysięcy stóp wysokości. Z podnóża dziewiczych lasów wjeżdżamy w urwiste wertepy i skały olbrzymich głazów, pociąg wije się coraz wyżej i wyżej, z jednej strony sterczy naga ściana granitu, z drugiej zionie przepaść bezdenna. Od pięciu tysięcy stóp wysokości roślinna fauna zaczyna się zmieniać, przybierając charakter górskiej, więcej karłowatej wegetacyi. Rozmaite gatunki paproci, między któremi i nasza zwyczajna, tu w pień wysmukłego drzewa, jak palma wyrosła, ślicznie kwitnący rododendron — dotrzymują nam towarzystwa do końca. Coraz wyżej się pniemy, szczyty gór, które nam się z podnóża wysokiemi zdawały, pod nami leżą, równamy się z obłokami, krajobraz coraz wspanialszy.

W Korseong lekka przekąska i dalej pod górę. Tu się widzi pierwsze warkocze: typ mongolski u ludzi przeważa, czuć bliskość Chin. Wreszcie po ośmiu godzinach jazdy tą oryginalną koleją, przynoszącą prawdziwą chlubę angielskim inżynierom i technikom, odsłania się przed nami, malowniczo na stoku góry, jak gniazdko do ściany granitu przyczepione, miasteczko Dardżiling, cel naszej podróży. Jesteśmy na wysokości 7.500 stóp, najwyższy punkt na świecie, na który siłą pary dostać się można. Przed nami w srebrzystem świetle jaśnieją dziewicze śniegi na zwartym szeregu gór ogromnych, kolosów Himalajskich, Ewerestu i Kichinjungi, najwyższych szczytów kuli ziemskiej, gdzie organiczne życie zamiera i dokąd stopa ludzka nigdy nie dotarła. Obraz jedyny, wspaniały, imponujący majestatem tych olbrzymów przyrody, wobec których człowiek się wydaje małym jak ziarnko piasku w pustyni Sahara.

Za górami Tybet tajemniczy, dalej Chiny, myśl w rozbudzonej wyobraźni przenosi się daleko do nieznanych światów...

Każdemu, kto Indye zwiedzić zamierza, usilnie radzę Dardżilingu w planie podróży nie opuścić, nic bowiem równie pięknego na świecie się nie zobaczy. Hotel tam doskonały, pomieszczenie wyborne, jedzenie nawet niezłe, czego, niestety, o reszcie hotelów indyjskich powiedzieć trudno.

Nazajutrz był dzień targowy w miasteczku. Okoliczna ludność górska, Huculi himalajscy, o dzikich twarzach mongolskiego typu, kobiety w bogatych ozdobach ze srebra i złota na szyi, spieszą do bazaru. Handlarze z pobliskiego Bhotanu, kraiku, który dotąd swą zupełną niezależność od Anglii zachować potrafił, z długiemi warkoczami do Chińczyków podobni, roznoszą rozmaite towary, kupcy z Tybytu z jedwabiami i materyami rozsiedli się na placu targowym, wychwalając swe wyroby; ruch, ścisk, nie do opisania, obraz malowniczy, szerokie pole studyów dla etnologa.

Jakiś Botańczyk w lisiej czapce z uszami, zupełnie do Mongoła podobny, szczególnie mnie zajął. Myśliwy był

widocznie i korzystając z dnia targowego, przyniósł do miasteczka zdobycze swych łowów. Na plecach miał przewieszonego piżmaka *(Moschus Moschiferus)*, w torbie jakieś dziwne, rude zwierzę, do niedźwiadka podobne, po angielsku catbear *(Katzenbär, Ailurus fulgens)* zwane, i dwa cudnie upierzone ptaki *(Lophophorus impeyanus)*, które, o ile z długiej z nim rozmowy, naturalnie na migi prowadzonej, zrozumieć mogłem, zamieszkują śnieżne regiony Himalajów.

W Dardżilingu mieszka niejaki pan Möwis, z Berlina rodem; od kilku lat w górach przebywając, trudni się zbieraniem motyli i owadów krajowej fauny dla europejskich muzeów. Himalaje zawierają najbogatszy zbiór lepidopterów, jakie widzieć można, i po Brazylii pierwsze w tym względzie zajmują miejsce. Za samiczkę jakiegoś rzadkiego motyla płacą mu w Londynie 15 funtów szterlingów za sztukę i widocznie nieźle wychodzi p. Möwis na motylim interesie, gdyż stawia sobie obecnie piękną willę, w której zamierza urządzić muzeum zoologiczne, tak bogatej a dotąd należycie niezbadanej fauny himalajskiej, oraz zbiór etnograficznych ciekawości Tybetu i okolicznych krajów nad chińską granicą. Pokazywał mi wiele ciekawych okazów rzadkich ptaków i zwierząt, między innemi, dziwnie ubarwione i tylko w śniegach wysokich szczytów żyjące, tak zwane krwawe bażanty *(Ithaginis cruentus)*, tudzież dwie skóry z rogami ze świeżo ubitych jeleni tybetańskich *(Cervus affinis)*, jakoby pierwsze znane okazy tego gatunku cerwidów, których, jak mówił, żaden Europejczyk dotąd nie ubił i żadne muzeum nie posiada, zwierzę to zamieszkuje bowiem tylko północne stoki Himalajów w niedostępnym Tybecie.

Z Dardżilingu, leżącego na północnym krańcu angloindyjskich posiadłości, kilkadziesiąt kilometrów zaledwie do granic Tybetu, tego ciekawego, osłoną tajemnicy okrytego kraju, którego dotąd żaden podróżnik do głębi nie zbadał. Chociaż dzisiaj niema już tej trudności w przekroczeniu granic Tybetu, co dawniej z niebezpieczeństwem życia było połączone, jednak rząd Dalajlamy dotąd uporczywie zabrania wstępu europejskim handlarzom i cudzoziemców do kraju nie dopuszcza. Rząd angielski dokłada wszelkich starań, by handlową drogę do Tybetu utorować i właśnie w tej chwili toczą się w Dardżilingu dyplomatyczne układy między angielskim komisarzem a chińskim delegatem z Pekinu przybyłym; Tybet bowiem stanowi prowincyą, choć prawie niezależną, chińskiego cesarstwa. Widziałem tego dygnitarza niebieskiego państwa; ogromnej tuszy personat, w palankinie po ulicach nosić się każe. Oficyalnie, treść konferencyi stanowią graniczne spory o tak zwane terytoryum Sikkim, w gruncie rzeczy jednak Anglikom chodzi o otwarcie drogi handlowej do Tybetu, do Lhassy, by z jednej strony stworzyć w ten sposób nowe źródło odbytu dla produktów Anglii, z drugiej zaś zmnopolizować cały handel wywozowy Tybetu, dotąd jedynie na północ, to jest do Chin, dokąd granice otwarte, drogę obierający. Topograficznie jest to wskazane, nie leży jednak w interesie Chin, natrafia na niechęć Tybetańczyków i upór Lamów i wątpić można, czy zamiary Anglików tak prędko urzeczywistnić się dadzą. Gdyby w przyszłości do tego przyszło, Dardżiling, koleją połączony z Kalkutą, nabierze niemałej wagi jako punkt handlowy i bodaj czy Anglicy, budując owę fantastyczną kolej górską, jedynie wygodę turystów mieli na względzie. Po zwiedzeniu bazarów, świątyni Budhy, po południu wdrapaliśmy się na pobliską górę „Tiger-Hill“ zwaną, chociaż tygrysów tam nie ma, zkąd widok na niebotyczny szczyt Ewerestu (29.000') w całej okazałości się przedstawia.

Wieczór przyjemnie minął na pogadance z p. Möwisem, przy kominku, z którego buchał wesoło ogień drzewa rododendronu; pierwszy i ostatni ogień na kominku, jaki widziałem w Indyach. Klimat Dardżilingu nadzwyczaj przyjemny, jak u nas we wrześniu, lub końcu sierpnia; w dzień gorąco, wieczory i ranki chłodne, noce wręcz zimne. Z żalem pożegnaliśmy nazajutrz uroczą górską miejscowość i świeże alpejskie powietrze i 25. rano stanęliśmy z powrotem w Kalkucie.

Dzień przeszedł na zrobieniu kilku ostatnich sprawunków i złożeniu paru pożegnalnych wizyt. Lord Beresford wspomniał mi przy tej sposobności, czy nie chciałbym po pobycie w Goonie do Hayderabadu w południowych Indyach zrobić wycieczki. W tym celu przyrzekł postarać się o ułożenie w tamtych stronach jakiego polowania i o rezultacie swych starań miał mi do Goony donieść.

26. wieczorem wyruszyliśmy wreszcie w drogę, z całym taborem bagażów, pakunków i tobołków różnego gatunku i rodzaju. Ujemna to strona każdej ekspedycyi myśliwskiej, lecz gdy się ma strzelby, gotowe ładunki, łóżka polowe, prowianty, aparat fotograficzny z kilkoma tuzinami płyt, wreszcie niezbędne ubrania, rzecz to nie do uniknienia.

Jako broń miałem dwa ekspresy Springera, kal. 500, jednę strzelbę od Lancastra systemu Colindian, strzelającą równie dobrze śrótem i kulą, wreszcie gruby sztuciec kal. 10, o ogromnym naboju prochu i kuli, jak do małej armatki. Tyle się nasłuchałem od Anglików w Indyach, że kal. 500 ekspresa ze średnim nabojem prochu, do moich sztućców zastosowanym, na tygrysy niedostateczny, że zdecydowałem się na wszelki wypadek, gruby kiliber w Kalkucie u Mantona nabyć.

27. wieczorem przerywamy podróż, by zwiedzić po drodze leżące miasto Agrę, jednę z najwięcej godnych widzenia miejscowości w całych Indyach. Niegdyś stolica potężnego państwa wielkich Mogułów, rezydencya cesarzy, z dynastyi mongolskich ze środkowej Azyi przybyłych, potomków Tamerlana, pełną jest Agra zabytków i pamiątek ze świetnych czasów cesarzy Akbara i Szach-Dżehana. Dziś wszystko w ruinie: z upadkiem mongolskiego cesarstwa w Indyach w XVIII wieku, rozpadły się pyszne pałace i wspaniałe rezydencye; w murach dawnej fortecy cesarza Akbara, wznoszącej dumnie swe ponure, ciemne ściany nad brzegiem rzeki Dżumny, żołnierz angielski na warcie się przechadza, pilnując angielskiego fortu, wśród gruzów upadłej potęgi azyatyckich władców. Na każdym kroku spotyka się ślady minionej świetności. W opuszczonej rezydencyi dawnych cesarzów lśnią się marmurowe komnaty od kryształów i drogocennych mozaik, w sali tronowej wznosi się dotąd złoty tron na posadzce z białego i czarnego, w szachownicę ułożonego, marmuru, gdzie cesarz Akbar ze swym błaznem nadwornym w szachy się zabawiał, używając do swej gry ulubionej uroczych bajader zamiast martwych pionów. Wiara Mahometa góruje tu nad kultem Brahmy. Marmurowe kopuły tak zwanego Meczetu pereł, który raczej na miano perły pomiędzy meczetami zasługuje, jaśnieją wśród ciemnych murów dawnej fortecy; ni Bagdad, ni Stambuł, ni Kair nie posiadają równie wspaniałej świątyni, będącej zarazem najpiękniejszym zabytkiem indo-saraceńskiej architektury. Lecz wszystko niknie wobec świątyni Tadż-Mehul, którą cesarz Szach Jechan w XVII wieku, jako grób i mauzoleum dla zmarłej swej małżonki wystawił. Dwadzieścia tysięcy rąk pracowało kilka dziesiątków lat około tej pysznej budowy, a stare kroniki wspominają o nie-

słychanych bogactwach klejnotów i drogich kamieni, które wszystkie kraje i prowincye potężnego państwa swemu panu i władcy niosły w dani dla upiększenia tego „cudu Hindustanu“.

Nie Hindustanu, lecz świata cudem tę budowlę nazwać można, gdyż zaprawdę nigdy, na całej kuli ziemskiej piękniejsze dzieło z rąk ludzkich nie wyszło.

Na szafirowem tle wschodniego nieba, wśród róż i jaśminów, drzew ślicznie kwitnących, w ciemnej zieleni cyprysów, wznosi się Tadż-Mehul na terasie z różowego marmuru, jak jasny dyament w kwiatów bukiecie, cały z białego jak śnieg, przeźroczystego jak alabaster, rzeźbionego jak koronka, marmuru, bez skazy ani plamki, w blasku drogich kamieni, któremi w najpiękniejszej mozajce zewnątrz i wewnątrz jest wyłożony, jakby nadziemskie zjawisko z tysiąca i jednej nocy.

Jeżeli trudno opisać jak wygląda sam gmach, tem trudniejszem jest oddać to uczucie zachwytu i podziwu, jakie każdego ogarnia na widok tego, jak go ktoś nazwał „poematu z marmuru“. Na mnie przynajmniej żaden gmach lub świątynia, którą gdziekolwiek w życiu widziałem, nie wywarła większego wrażenia wspaniałością jakby nadziemskiego zjawiska a zarazem prostotą stylu. Widząc Agrę i jej zabytki, ma się wrażenie dawnego Oryentu średnich wieków, o bajecznym przepychu azyatyckich władców, ich despotycznych fantazyach i kolosalnych bogactwach, które tylko sny pierwszej młodości w rozbudzonej wyobraźni odmalować potrafią a których ślady na każdym kroku się tutaj spotyka.

28. wieczorem, po kilku godzinach jazdy koleją, przybyliśmy do Gwalioru, celu naszej podróży. Na dworcu oczekiwał nas major Barr i na mieszkanie do swej willi zaprosił“.

(C. d. n.)

DZIĘCIOŁ.

— A co sąsiedzie, możeby tak coś niecoś przetrącić zanim się nagonka pozłazi? Bo to u nas tak — krzycz, wrzeszcz, wołaj, proś, obiecuj — a i tak ci przed ósmą nie wyjdą, choć ja, ho! ho! panie, ostro się do nich biorę. U mnie tak, każę i w tej chwili wszystko być musi!

— No, wszystko to ładnie, kochany panie Janie, że się tak ostro do nich bierzesz, ale pomimo tego interesa te kulawo idą, bo mieliśmy już o ósmej walić rotowym ogniem do zwierzyny, której jak mi mówiłeś masz mnóstwo, a tu już po ósmej i my w domu.

— Nic to, nic, mój drogi sąsiadku, niech tylko wyjdę a krzyknę, to zobaczysz! Powiadam ci nogi łamać będą! Ale *ad rem, ad rem* palnijmy po naparstku i zakąśmy wędzonką. Jak Boga kocham robota mojej Basi.

— Ależ sąsiedzie, ja nie piję, ja cały nasiąknięty karlsbadzką, naszpikowany proszkami i pigułkami, to mi wódki ani powąchać nie wolno.

— E, co tam nie wolno! Jeszcze nikt od kieliszka poczciwej wódki nie umarł. Ta to jak woda, jak cię kocham, dziecko by mogło pić. Pij sąsiad na moją odpowiedzialność, ja gwarantuję, że ci nic nie będzie, jeszcze mi podziękujesz. Ja praktyk, wodę zostawmy gęsiom i kaczkom, jeszcze ci się żaby w brzuchu rozmnożą. No! no, w twoje ręce.

I gruchnąwszy poczciwiec bez skrzywienia półkwaterkowy kielich, nalał mi go, pomimo że się broniłem, po same brzegi. Cóż było robić? „Kiedy wleziesz między wrony, musisz krakać jak i one“. Łyknąłem. Język mi kołem stanął, w oczach zaczęły latać żółte ogniki, a w gardle coś tak jakby kto kleszczami ścisnął...

— Co? dobra? Prawdziwa nasza, czysta, hę?

— Do... do... dooobra — wykrztusiłem ze siebie siłą woli, dusząc się i dławiąc od mocy czystego spirytusu, którym mnie potraktował.

— A co? Od takiej sąsiadku to i robak zdechnie i człowieka dyabli wezmą... jeżeli cherlak — dodał. — No, proszę przekąsić Basinej roboty, to i ślina zginie.

Rzuciłem się na wędzonkę skwapliwie i rzeczywiście po kilku zjedzonych kawałkach zrobiło mi się lepiej, choć całkiem wyraźnym nie poczułem się aż dopiero w godzinę.

— Czy wy tutaj wszyscy w okolicy taką „dziecinną“ pijacie? — pytam gospodarza. — Proszę mnie objaśnić, bo jako niedawno w te strony przybyły, nie znam jeszcze waszych zwyczajów i nałogów.

— No tak, Bogiem a prawdą — powiada pan Jan — już mało takich, którzyby przemysł krajowy na tym polu wspierali. Znajdziesz tu więcej koniaków, benedyktynek i innych miszkulancyj i wymysłów szwabskich, niż naszej poczciwej siwuchy, która to, chociaż trochę może pokręci w nosie i podrapie po gardle, przecież cię nie struje i nie napędzi kamienia. A teraz nogi za pas i marsz! bo widzę, że się pozłazili.

Wyszliśmy, przed gankiem stały sanki parą niezłych roboczych koni założone. Znany mi już zkąd inąd Hryć siedział na samym środku koziołka, okutany w opończę, kaftan i sierak, z baranią czapką na długich włosach, z łokciami od siebie rozstawionymi; przygarbiony, wyglądał jak kwoka, kiedy kurczęta przed deszczem obsiądzie. Siedliśmy i wio! do czarnego boru, który z poza pagórka wystawiał czubki swych jodeł.

W lesie śnieg po kolana, spadły przed trzema dniami, tropów tak jak by nie było, gdzieś niegdzieś znać zajączka jak lękliwie przez drogę przeskoczył, trochę lisa, ot i wszystko. Poznałem, że zwierzyny tyle u kochanego sąsiada co i energii. Bór przecięty — znać, że tędy niszcząca ręka Izraela przeszła.

Jedziemy milcząc. Mnie jakoś po tej „dziecinnej“ było jeszcze nie swojsko, a gospodarz coś widocznie kombinował, bo raz wraz oglądał się po lesie i pod nosem coś sobie mruczał. Naraz zwraca się do mnie i pyta:

— Czy sąsiad znasz dzięcioła?

— Co? dzięcioła? A no tak, znam dzięcioła — odpowiadam, zwracając na niego zdziwione oczy z myślą, czy kpi, czy o drogę pyta, bo gdzież kto tego dobrodzieja lasów nie zna.

— A to już może opętał sąsiadka w swoje sidła.

— Jakto opętał mnie w sidła?

— No, czy już był u pana w lesie? — rzecze pan Jan z pewną irytacyą w głosie.

— Ależ był i jest zapewne, nawet nie jeden. Oto dopiero wczoraj widziałem na gruszy blisko domu ślicznego zielonego dzięcioła.

— Ha! Ha! Ha! jeden do lasa drugi do sasa! Pan masz na myśli ptaka, a ja mówię o żydzie, kupcu lasowym, którego my tu „Dzięciołem“ nazywamy.

— A, jeżeli o takiego ptaszka chodzi, to nie znam, nie znam, nie mam przyjemności, nie słyszałem dotąd o jego istnieniu i nie kwapię się wcale, aby z nim zawrzeć znajomość.

— No, no, poznasz go sąsiad dziś, bo ma tu przyjść. Chce kilkaset jodeł odemnie kupić.

Rozgadawszy się o tem i owem na dobre, dojechaliśmy po niezłej drodze aż do stanowisk, przy których czekał na nas miejscowy leśniczy ze swórką psów gończych.

— A co tam, panie Świdziński, jest co w lesie?

— Nie wiele mamy, w lesie się rąbie, niepokój, to i zwierzyna się wynosi. Mamy dwa stadka sarn, razem pięć sztuk, kilkanaście zajęcy, kilka lisów, ale mam także sześć dzików obciętych w „Wielkim Zworze“ i radziłbym, miotu przy którym stoimy, zaniechać na razie, a wziąść najpierw miot z dzikami.

— Ależ naturalnie — poparłem leśniczego — sarny i zające poczekają, a dziki wyjść mogą.

Za zgodą gospodarza ruszyliśmy tedy na wskazane miejsce, dawszy wpierw rozkaz nagonce, skąd i jak gonić ma, oraz aby psy dopiero na ruszone dziki puszczać.

Brnąc w śniegu wyżej kolan, pomęczeni i spoceni, dobiliśmy się po półgodzinnym marszu do „Wielkiego Zworu“. Las tu gęściejszy, mniej pniaków a więcej drzew, podszyty młodą jodliną i buczyną, przedstawiał się całkiem poważnie, imponując rozsianymi wprawdzie, dość rzadko, ale za to prześlicznymi masztowymi jodłami. Leśniczy rozstawił nas na drożynie. Przed sobą mieliśmy płytkie potoki, które przez lekkie falowanie młodzieży poznać się dawały. Cisza w koło, drzewa pod okiścią stoją jak kolosalne posągi, jedne tylko sikorki, skacząc po pniach, świegotem swym tę grobową ciszę przerywają.

Pan Jan stał obok. Cały wlazł w uszy i oczy, nadsłuchując hałasującej zdala nagonki. Ja również zmysły moje wytężałem i radbym był oczami przebić ten gąszcz, który miałem przed sobą. Usłyszałem szmer za sobą, obejrzałem się natychmiast i zobaczyłem zbliżającą się do nas figurę wysoką, czarną, chudą, brodatą i pejsatą, słowem naszego kochanego galicyjsko-polskiego żydka w całej typowej pełni i okazałości. Spojrzał na mnie, z lekka uchylił kapelusza, i pociągnął posuwistym krokiem do mego sąsiada, kłaniając mu się do samej ziemi.

Poznałem go, poznałem, że to musi być ów znany i popularny w okolicy „Dzięcioł“, któregoby właściwej Kornikiem nazwać należało.

Rozmowa między moim sąsiadem a żydem zaczęła się w najlepsze, obaj gestykulowali, żyd coś rękami wskazywał, jakby chciał oznaczyć wysokość i grubość, kłaniał się, to podchodził, to się oddalał od pana Jana, widocznem było dla mnie, że tu chodzi o kupno jodeł, o którem mi sąsiad wspomniał. Zapomniał on o polowaniu i tylko interes zdawał się go w tej chwili obchodzić.

Nagonkę już teraz słychać było bliżej, wyraźniej, już nawet pojedyncze głosy odróżnić można było; koło mnie przesunął bezkarnie lisiura, bo pierwszy strzał wolny był tylko do dzika. Wtem odezwał się krzyk głośniejszy — za nim dziesięć innych, wreszcie cała nagonka zahuczała z pełnej piersi, a z wrzaskiem tym złączył się gon psów. Zagotowało się jak w garnku, łomot, trzask już koło nas, nareszcie wyłania się z gąszczy masa czarna jedna, druga... Strzelam, dubluję i jeden dzik leży w śniegu, wyrzucając jeszcze racicami w powietrze śnieg, liście, gałęzie. Ciało bez ruchu, a nogi jeszcze żyją.

Spojrzałem w stronę sąsiada i zobaczyłem dziwny widok. Przed nim, może na czterdzieści kroków, dwa psy ostanowiły dzika i nie dają mu się ruszyć, sąsiad chce strzelać — wtem Dzięcioł susem doskakuje do niego, łapie za strzelbę i woła:

— „Panie dziedżyc! Co pan robi? Niech pan nie strzela, bo wun nas bedzie zieść ten dżyk. Ja sze już godzę na trzy reńskie za sztukę, a niech mu pan nie strzela, niech jegi psy zjedzą“.

Żyd słyszał gdzieś, że dzik strzelany, trzymany przez psy, rzuca się po strzale wprost na ludzi i bał się, aby co przy tem nie oberwał. W oczach odbijał mu się śmiertelny przestrach, a ciało febrycznie drżało.

Widząc co się dzieje, i że sąsiad, zmięszany dziką energią Dzięcioła, może naprawdę popaść w niebezpieczeństwo — bo dzik przed nim, stary odyniec, fuka i pianę toczy — poskoczyłem bliżej i założywszy w biegu ładunki, strzeliłem do dzika dwa razy. Dzik po strzale wyrwał się psom, nie myśląc jednak o zemście. Ale Dzięcioł przerażony, jednym susem przesadził drogę i dyrnął biegnąc niemal równolegle z dzikiem, któremu pan Jan, oprzytomniawszy, jeszcze dwie kule wpakował i z nóg zwalił.

Dzięcioł zniknął jak kamfora. Odchorował ciężko to spotkanie, i już od tego czasu w dzień polowania ani by go szczupakiem z cebulą nie zwabił.

Krzeczkowa 18. stycznia 1891.

Wł. Zaleski.

Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Pewien francuski fizyolog, którego nie wymienia dziennik, z którego wiadomość tę czerpię, robił ciekawe doświadczenia co do chyżości poruszania skrzydeł w locie u rozmaitych ptaków. Pomiędzy tymi ptakami była i kaczka. Wynikiem tych żmudnych badań było, iż w jednej sekundzie porusza skrzydłami kaczka 9 razy, wróbel 13, gołąb 8, kania 5·75, sowa płomykówka 5, myszołów 3. Doświadczenia te robiono w sali obszernej, w której ptak mógł latać swobo-

dnie bądź 16 metrów w linii prostej, bądź w koło o promieniu 7 metrów, a ilość poruszeń skrzydeł oznaczał prąd elektryczny zapomocą dwóch drutów do skrzydeł przymocowanych, przerywających lub otwierających prąd wskutek powtarzania się ruchu.

Przyrządy doświadczalne z zastosowaniem prądów elektrycznych, w połączeniu ze zdjęciami momentalnymi fotografii, zdarły już niejedną zasłonę z działań, które dla niedokładnych naszych zmysłów ciekawą były dotąd zagadką, co więcej, właśnie owe zmysły, pod wpływem rozmaitych złudzeń, tłumaczyły sobie rzecz nietrafnie. Dopiero przy pomocy owych wielkich wynalazków, uda się może zgłębić tajemnicę lotu i zastosować potęgę tę dla praktycznego użytku ludzkości.

Powoli a żmudnie ściąga ręka przyrodnika zasłonę z tajemniczego warsztatu przyrody, a tryumfalną lecz zarazem zastraszająca będzie chwila, w której ten posąg Saidy nagi stanie w obliczu ludzkości. Tryumfalną — bo śmiało może cała ludzkość znów palić światła na cześć Neithy, jak to niegdyś czyniono w Egipcie, zastraszającą — bo mimowolnie rodzi się pytanie, czy geniusz nie wyprzedzi tu zanadto ogółu, czy ogólny poziom moralny ludzkości dorósł już do prawa korzystania w codziennym obrocie z tak strasznej potęgi?..

Lecz wracajmy z tych górnych wyżyn do kaczki.

Kształt skrzydła kaczki podobny jest budową swą do skrzydła ptaków bekasowatych, a charakterystyczną cechę stanowi tu szpiczaste zakończenie, niemniej to, iż zawsze drugie piórko lotek rękowych jest najdłuższe, podczas gdy pierwsze karłowacieje i w kształtach zanika. Znane są myśliwym owe maleńkie a sztywne piórka w skrzydle słonek i innych bekasowatych, a powtarzają się one u wszystkich odmian kaczek, jakkolwiek nie w takiem silnem skarłowaceniu. Głowa, wyciągnięta u kaczki podczas lotu, jest zarazem rodzajem steru, a widzieć to można obserwując zapadające kaczki. Kierują one wtenczas wyciągniętą głowę ku miejscu, dokąd zmierzają, i w ten sposób wytwarzają w tym żądanym kierunku najmniejszy opór powietrza, zapanowując tym ruchem głowy nad wypadkową kierunku.

Sylweta żadnego ptaka podczas zapadania i zwrotów nie przedstawia się tak przewróconą jak u kaczki, a to z przyczyny, iż inne ptaki posługują się w chwilach tych sterem ogonowym, co u kaczki w małym tylko dzieje się rozmiarze. Na powierzchnię wód zapadają kaczki z takim impetem, iż z dala słychać mocny plusk wody, a ptak jeszcze na wodzie nabranym impetem się posuwa. Podawaniu się tego żywiołu zawdzięcza kaczka, iż się przy zapadaniu nie uszkadza, co by było nieuniknionem, gdyby ptak z takim impetem na twardą powierzchnię zapadał. Dobrze wiedzą o tem kaczki; to też nie zapadają nigdy na twardą ziemię, a w braku wody, siadają w miękkich trawach, trzcinach, na ziemi liściem pokrytej, a gdy znęcą ich czasem ścierniska i leżące tam na pokosach zboża, znajdują i tam miękką do zapadania pościółkę Jeżeli tylko miejsca takie znajdują się blisko wód, to kaczki w celu żerowania nie zapadają wprost na nie, lecz na wody, a stąd odbywa się podróż piesza aż do celu.

Widziałem nieraz takie piechotne podróże kaczek. Jakby widząc, że narusza tu pracę człowieka, zbliżało się stadko zupełnie milczkiem do miejsc żerowisk, wydając dopiero na miejscu przybycia nieokreślone przytłumione szepty, których nie słyszałem w okolicznościach innych. I tu znów, jak niegdyś bocian na zamku Krasnostawskim Niemcewiczowi, tak i mnie kaczka figla wypłatała. Otworzyła swój dziób czerwony —

„Coś zaklekotało, ale los odwieczny,
Zbyt życzeniom naszym sprzeczny,
Nie chcąc, by człowiek był nadto uczony,
Sprawił, że ludzie, choć pilnie słuchają,
Nie rozumieją, co bestye gadają.“

Niemniej ciężko i forsownie zrywają się kaczki, sprawiając przytem uderzający łoskot, a wprawiający w taką emocyę nieobeznanego z tem myśliwego, iż pudłuje do kaczki, chociaż strzela bardzo zręcznie i zimno do innego ptactwa błotnego.

Bardzo miło spływa kaczkom kilka tygodni wiosennego życia. Ptak ten, zgodliwy i dobroduszny, prowadzi rzeczywiście żywot do pozazdroszczenia. W dzień żeru podostatkiem, bo coraz wyżej posuwając swój krąg słońce, coraz nowe do życia powołuje twory. Nikt tu nikomu chleba nie zazdrości, wszystko pożera w zgodzie dary boże, a najadłszy się odpoczywa, wieczorem zaś następują rozmaitego rodzaju zabawy, wycieczki, poznawania się dawnych par, łączenie się nowych stadeł, wesołe gwary, popisywania się rozmaitych lwów jeszcze nie zajętych, głosem, lotem i rozmaitymi sztukami na wodzie. Od zachodu aż w dobry już mrok, przelatuje rozkoszne to ptactwo z jednych wód na drugie, a to samo powtarza się i przed wschodem słońca, a wtedy krąży, jakby w pogoni oddala się czasem bardzo daleko od wód, i zapada wreszcie z pluskiem i krzykiem. Zapadłszy na wodę, nie może się nacieszyć tym żywiołem, to wartkim ruchem nurza głowę, to muska się dzióbem po pierzu, to przekręca szyję na różne strony, wreszcie staje niemal na wodzie, rozpuszcza loty i bije nimi gwałtownie powietrze w postawie prawie pionowej. Jestto ruch dający się porównać z wyciąganiem członków, właściwem wszystkim zwierzętom ssącym, nie wyłączając i najwyższego tychże okazu, a mający na celu, jak mi się zdaje, przywrócenie sprężystości muskułom, przez pobudzanie działalności tychże.

Wszystkie kaczki żyją w monogamii, jednak w rodzaju tym, jak już wspomniałem, więcej bywa samców, przeto dobór płciowy odbywa się tu dość uporczywie. Wesołe życie towarzyskie kończy się, gdy kaczki poczują ciężące jajo. Rozpraszają się wtenczas stada, kaczki szukają stosownych miejsc na gniazda, a osamotnione towarzystwo męzkie chroma jednostronnem i monotonnem życiem. Nie w głowie kaczorom troska rodzicielska i pomoc wysiadującej jaja, sama ona musi i jaja wysiadywać i o żer się starać.

Towarzystwo jednak czysto męzkie nie zajmuje na długo kaczora. Są między nimi i takie natury ogniste, które nie mogą utonąć w wygodach i zapomnieć o drugiej połowie swego rodzaju. Pod naciskiem konieczności, gdy zapłodnione i niosące się kaczki ukryły się w gęstwinach, znosić musi kaczor i tę ostateczność, jednak z głowy nie mogą się ulotnić miłe wspomnienia uroczych czasów ubiegłych. Udaje tedy kaczor jakiś czas wesołego w gronie towarzyszów niedoli, a tymczasem szatańska myśl nurtuje i nie daje zapanować nad sobą: wtenczas porzuca towarzystwo samotnych małżonków, zasumuje się, a usiadłszy na wodzie lub na jakiej kępinie, medytuje, i świat mu nie miłym się wydaje, i żeru niechciwy. Wreszcie uderzy lotami powietrze, jakby na znak, że wielka myśl już dojrzała, zerwie się i w rozmaitych kierunkach okrąża rodzinną siedzibę.

To nie troska rodzicielska poruszyła myśl tego samczyka. Trosk tego rodzaju nie zna ten prawdziwy samiec, ten samolubny kochanek. Wie on, że połowica jego po zniesieniu, zupełnie dla niego oziębłą się staje, i że tylko po zniszczeniu przedmiotu, który w chwili obecnej całą istotę kaczki zajmuje, obdarzy go znów wzajemnością w nadziei,

że może po drugiem zniesieniu uda jej się spełnić macierzyńskie posłannictwo. Wypatruje tedy za gniazdem, aby zniszczyć jaja. Oto myśl przewodnia samolubnego małżonka, a z zadąsaną wskutek tej nieprzyjemności małżonką jakoś później się pogodzi.

Na ziemi, wśród kępin, pomiędzy zaroślami, na łące wśród traw, a wreszcie i na drzewie, zakłada kaczka swe niewymyślne gniazdo. Osnowa gniazda składa się z rozmaitych części roślinnych, wcale nie z wielkim pedantyzmem ułożonych, a miejsce pod same jaja wyściela miększymi trawy i pierzem z własnej piersi wyskubanem. Towarzyskość kaczki i w tej czynności objawia się znakomicie, bo w miejscach dogodnych gnieżdżą się te ptaki gromadnie, spoglądając jedne na drugie podczas nudnego wysiadywania jaj.

Gnieżdżąc się na drzewie, nie zakłada kaczka nigdy osnowy gniazda, lecz korzysta z dawnych już opuszczonych gniazd srok, gawronów, wron, kruków a nawet wielkich ptaków drapieżnych, adaptując je po swojemu pod względem wewnętrznego urządzenia i wyścielenia. Jakkolwiek najchętniej używa do tego drzew z kraju lasu położonych, a przypierających do jakichś wód lub innego odpowiadającego jej terenu, spotykałem jednak gniazda krzyżówek także wśród takich lasów głębokich, gdzie na promieniu kilku kilometrów ani jednej kałuży nie było.

Kaczka taka, siedząc na jajach, musiała zatem kilka razy dziennie odbywać podróże dość dalekie na miejsca żerowisk, a mimo to nie zaziębiła jaj i zdrowe wydała pokolenie. Gniazda kacze na drzewach budziły we mnie zawsze niepospolitą ciekawość, już dlatego samego, iż podobno różnorodność w gnieżdżeniu się nie jest rzeczą zwykłą w przyrodzie. Często badałem gniazda te, w oddali od wód na drzewach się znajdujące i porównywałem je z innymi gniazdami tej samej odmiany pośród wód na kępinach, a porównanie takie wykazywało pewne i zawsze te same różnice. W gniazdach drzewnych roskoszowały jaja do zbytku w pierzu i w miękkiej podściółce, podczas gdy w gniazdach ziemnych bardzo niewiele tych materyałów się znajdowało. Widocznie zatem, iż w gniazdach na ziemi, wśród kępin, na których kaczka siedząc, potrzebuje nieledwie szyję wyciągnąć by znaleść dostatek żywności, nie obawiała się możności zachłodzenia jaj; wystarczyła tutaj w owem od wiatrów zacisznem ustroniu prosta kotlinka, byle jak wyścielona. Co innego zaś na szczycie drzew, gdzie ze wszystkich stron wieje, zkąd trzeba dla odżywiania na dłuższy czas się oddalić; tu wysilić się musiał zmysł budowniczy biednego ptaka, aby nie zatracić własnego pokolenia.

Taki sposób zaopatrywania gniazda w rozmaitych okolicznościach, niemniej wybór tak rozmaity miejsc na gniazda, mówią wiele o roztropności tego ptaka, o jego pamięci i zmyśle akomodacyjnym. Objawy te mimowolnie przypominają nie nowe wprawdzie ale tak trudno zawsze do ogółu przemawiające spostrzeżenie, iż zwierzęta nie zachowują zawsze jednego i tego samego szczebla umysłowego rozwoju, co zresztą potwierdzają wydobyte z geologicznych warstw szczątki fauny, gubiącej się w eonach wieków.

W roku 1861 ogromną senzacyę uczyniło odkrycie szczątków zwierzęcia pewnego w pokładach jurajskich, w Solenhofen, a geologowie długo się namyślali, zanim zwierzę to uznali, na podstawie form anatomicznych, za prototyp ptaków, który wyłonił się już z kształtów potwornych jaszczurów i tkwi poniekąd w Proterozaurze z formacyi permskiej. Zwierzęciu temu epoki jurajskiej, dano nazwę *Archeopteryx*, a zakupiło go muzeum brytyjskie za 12.000 marek. Otóż każdy, zda mi się, spostrzega dziś różnicę, co do stopnia inteligencyi, pomiędzy płazami a ptakami, ponieważ zaś ptaki są tylko dalszym łańcuchem rozwojowym płazów, odbywającym się w eonach czasów, każdy zatem przyzna, iż odmawiając zwierzętom postępu w rozwoju psychicznym, popełnia się błąd kardynalny, mierząc rozwój stworzenia miarą, niedającą się ująć w cyrkiel wszechświata. W wszechświecie bowiem dwie formy zjawiska łączą się i nawzajem przenikają, rozwijają się wspólnie i są od siebie zależne, organizacya fizyczna i rozwój psychiczny.

Przepraszam czytelnika za tę dygresyę w obronie inteligencyi ptaków i wracam do dalszych tajemnic z życia kaczki.

Jakkolwiek trudno jest zbadać tożsamość gnieżdżących się kaczek w ciągu lat kilku na jednem i tem samem drzewie, i w tem samem gnieździe, zdaje się przecie, że są to zwykle kaczki starsze, doświadczone matki, którym smutne doświadczenia życia kazały iść za przysłowiem: „Choć i w swobodzie myśl o przygodzie.“ Na stawach i wodach, nieulegających znacznym spiętrzeniom swej powierzchni, objaw gnieżdżenia się na drzewach jest rzadkim, powiedziałbym nadzwyczajnym, gdyż znajdują tam kaczki bezpieczne miejsca wśród traw i kępin. Inaczej wszelako ma się rzecz na wodach często wzbierających. Tu sprowadzają wylewy straszne spustoszenia w rozmnoży tego ptaka, więc ptaki starsze, nauczone zapewne doświadczeniem, chronią się z gniazdami na drzewa przed niszczącym żywiołem.

Na szczęście, w klimacie naszym rzadko kiedy następują wylewy w porze, gdy kaczka siedzi na jajach, to jest w miesiącu maju; długotrwające słoty towarzyszą zwykle przesileniu się dnia najdłuższego z końcem czerwca, a powodowane nimi wylewy przedstawiają już tylko przestronny obszar do ćwiczeń pływackich młodego pokolenia. Widywałem w takich okolicznościach całe floty z rozmaitej wielkości czarniawych korabiów złożone, a „wiosłujące“ jakby na komendę po rozhukanym żywiole; były to „wypiórki“ (kaczęta) rozmaitych odmian, niekiedy pozbawione zupełnie opieki macierzyńskiej.

W obec wielu bardzo niebezpieczeństw, grożących temu ptakowi ze wszystkich stron, bo nietylko od zwierząt drapieżnych i ludzi, lecz nawet od żywiołu, do którego jest przeznaczony, musiała go przyroda obdarzyć bardzo wielką płodnością. I w istocie kaczki niosą 6 — 15 jaj, a w razie zniszczenia pierwszego zniesienia, niosą się po raz wtóry i jakkolwiek opóźniony, jednak zdrowy płód wychowują. W tem to leży przyczyna, iż w porze, gdy jedna młodzież już podlatywać zaczyna, inne dopiero z jaj się wykluwają.

Niezawodnie, że i dłuższy czas trwająca pora godowa, która się na wodach odbywa (deptanie), staje się także przyczyną nierównego wieku kacząt, jednak różnice ztąd powstałe są niewielkie. Z aktem parowania łączą się i tutaj dziwne objawy. I kaczory wprowadzają się w stan anormalny, w stan jakiegoś upojenia i oszołomienia, jaki spotykamy niemal u wszystkich zwierząt w porze godowej. Powtarzam tu doskonale rzecz malujące słowa K. hr. Wodzickiego (w monografii wróbla), gdyż nie umię lepiej obrazu tego przedstawić. „Co kaczory z biednymi kaczuszkami dokazują, pobiwszy współzawodników, to litość bierze. Łapią takowe dziobem za głowę, jak pijany chłop swą babą, pędzą przed sobą i dziobią, wsiadają na grzbiet, spadają i znowu się pakują depcząc nogami“ a te przygotowania trwają czasem godzinę całą.

Prawidła rządzące wszechświatem, wytwarzają te same objawy w pewnych okolicznościach, a gdy zwrócimy uwagę na ekstazy i oszołomienia mniej i więcej dzikich ludzi przy

tańcach i obchodach weselnych, to rzeczywiście trudno to wszystko odłączyć od objawów, widzianych w świecie zwierzęcym, aż do najdrobniejszych stworzeń, które nasze zmysły obserwować nam dozwalają. Prawidła te są tak potężne, tak władnące całem jestestwem, iż kultura, dokonując zdumiewających zmian na innem polu, tutaj li tylko zdołała przygłaskać formy i pozornie upolerować istotę rzeczy.

Oryginalne zwyczaje przybiera kaczka, siedząca na jajach. Staje się ona podwójnie chytrą i ostrożną, z gniazda niechętnie, chyba za żerem zlatuje, a wracając, zatacza kilka razy koło i zapada daleko od gniazda, podpływając następnie lub podchodząc do tegoż. Wie ona bardzo dobrze, iż głośny jej lot śledzi nie jedno wrogie oko, pragnie zatem zmylić drogę do ukochanego jej płodu.

Z podziwienia godną wytrwałością wysiaduje w 3—4 tygodniach kaczęta. Dłuższy czas wysiadywania dotyczy większych odmian kaczek. Wielu znakomitych przyrodników podaje jako fakt, iż kaczki, gnieżdżące się towarzysko, wykradają sobie wzajemnie jaja. Przykro mi, że mogę tylko zdać z tego sprawozdanie, bez żadnych z mej strony uwag, gdyż nie udało mi się czegoś podobnego podpatrzeć, ba, nawet nie słyszałem o tem w kołach doświadczonych myśliwych.

Pomimo mokrych i chłodnych oparów ze ziemi, na które wystawione są nieraz jaja kacze w miesiącu maju — który o tyle się zmienił na gorsze, iż chyba tylko tradycya z uroczych dawnych majów pozostała — nic im to wszystko nie szkodzi dzięki temu, iż zapłodnik *(cicatricula)*, jako gatunkowo lżejszy, zawsze ku górze jaja podpływa i w jakimkolwiek położeniu jaja ciepłotą organiczną matki jest ogrzewany. Dojrzały płód przebija grubszy koniec jaja i niezadługo z piskiem na wodę się udaje, razem z matką pływa i żeruje.

Kaczęta wszystkich naszych kaczek są barwy ciemnej, niemal czarne, całe w puszku, wesołe i nadzwyczaj płoche. Przy lada sposobności chyżym ruchem znikają byle w jakich szczelinach i przyczajają się, a gdy minie niebezpieczeństwo znów się zbiera cała rodzina. Żerując prawie całymi dniami, wykształcają się kaczęta bardzo szybko, tak, iż po sześciu tygodniach zaczynają podlatywać („podloty“), a we dwa miesiące opierzenie ich o tyle postąpiło, iż w skrzydłach wyrastają barwne piórka, tak zwane lustra. Od tej pory młode kaczki nazywają myśliwi „farbówkami“, i dopiero teraz za ptactwo łowne się je uważa. Farbówki latają wspólnie ze starymi i z oddali odróżnić się dadzą li tylko wielkością od ptaków starszych. Przypatrzywszy się jednak z bliska, dostrzec można wielką bardzo różnicę. Podczas gdy kaczki stare o tej porze tak są wypierzone, że tylko z wielkiem wysileniem latać mogą, a na całem ich ciele w rozmaitych miejscach zupełnie z pierza ogołocone miejsca się znajdują, zaczynają się kaczki młode dopiero pierzyć i to dość wolno, gdy pierwsze opierzenie jest już zupełnie wykształcone. Następuje to zazwyczaj dopiero we dwa tygodnie po wypierzeniu się starych. Brodząc o tej porze za kaczkami, spotyka się też na wodach i trawach masami pierza, co przypisać należy owemu procederowi przyrodniczemu.

Zdarzyło mi się nieraz słyszeć twierdzenie, że kaczki dwa razy do roku się pierzą, a mianowicie, że oprócz pierzenia po lęgu, pierzą się na wiosnę. Powód do tego mniemania, dała niezawodnie w oczy wpadająca zmiana barw opierzenia z zimy do lata, jednak zmiana taka ubarwienia nie jest spowodowana u kaczki wypierzeniem. U innych ptaków może być wprawdzie powodem tej zmiany wypierzenie, albo wygubienie pojedyńczych piór, lecz u kaczki jest to głównie zmiana ubarwienia jednych i tych samych piór, w skutek przekształcenia barwników piórnych, i odbywa się z wiosną tak, że pora godowa zastaje już kaczkę poniekąd zupełnie przebraną, a w rzeczywistości tylko zabarwioną najwspanialszymi barwami metalicznymi.

Gdy tylko młodzież podlatywać zaczyna, zjawiają się i kaczory, dotąd na osobności trzymające się, i łączą się z rodziną. Rodziny łączą się wówczas w stada i rozpoczyna się znowu gwarne, towarzyskie życie aż do pory odlotu.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Z Tarnowskiego w lutym.

(Stan zwierzyny. — Stosunki łowieckie — dzik i żandarm).

Dla myśliwych, będących zwykle uczestnikami polowań w hrabstwie Tarnowskiem, był sezon myśliwski poniekąd żałobnym, bo z powodu nader rzadkiej bytności J. O. księcia Marszałka, mało co tu polowano.

Rewir Wierzchosławski, około 4000 morgów lasu, przepełniony sarnami, nietknięty w tym roku. Na podjazd w lecie nie strzelało się rogaczy, ażeby zimowe polowania świetniejszy rezultat wykazały; w zimie zaś, strzał tam nie padł. Rogacze więc myślą o wychodźtwie, narzekając na przeludnienie. Polowania nie odbyły się także w Hyszowie, Klikowej, Koszycach, Niedomicach, Lisiejgórze, Tarnowcu, Żukowicach itd. Zatem rezultat polowań jest bez znaczenia i nie daje wyobrażenia o bogactwie zwierzyny. Zabito ze wszystkiem w polowaniach zimowych 13 rogaczy, 37 lisów i 461 zajęcy.

Stan sarn w naszej okolicy bardzo się podniósł; mamy ich teraz wszędzie dosyć, w lasach, łozach i na polach. W majątku Swierczkowie, mającym około 150 morgów lasu i wiklin, była istna pepiniera dla całej okolicy, bo naliczono około 100 sarn. Dzisiaj ta liczba się zmniejszyła, bo sarny, znajdując wszędzie opiekę, rozeszły się po części.

Zato stan zajęcy i kuropatw nia podniósł się w ostatnich latach; miejscami nawet zmniejszył się znacznie, dzięki niezmordowanej pracy kłusowników. Z kłusownikami, używającymi strzelby, prędzej dajemy sobie radę, ale gorsza sprawa z kłusownikami, zastawiającymi sidła, a rzec można, że w Tarnowskiem krzaki chłopskie i tak zwane ogrody włościańskie, są jednym labiryntem drutów, zastawionych na zające i kuropatwy.

Chałupy wyrastają jak grzyby, ale nie wśród wsi, tylko na polach, a szczególniej pod lasami dworskimi, i każdy mieszkaniec tych odosobnionych chat używa w miesiącach zimowych wszystkich wolnych godzin, których ma mniej więcej 24 na dobę, na niszczenie zwierzyny.

Stali odbiorcy zwierzyny, żydkowie, dostarczają dla krótszej procedury darmo drutów. Złapaliśmy już kilku żydków, mających i po 6 zajęcy w workach; przyznali się oni, po delikatnej *sui generis* namowie, od których wiaśniaków kupili zające. Winowajcy zostali ukarani, ale dalej strzelają, lub łapią zwierzynę, bo cóż im to szkodzi parę dni w dobrym towarzystwie w kozie przesiedzieć.

W innych miastach istnieją stowarzyszenia myśliwych, mające na celu ochronę zwierzyny i prawidłową organizacyę polowań, tu zaś w Tarnowie zawiązało się pokątne stowarzyszenie myśliwych księżycowych, którzy z Tarnowa wyjeżdżają i przy księżycu ze sań po gościńcach cudze zające biją tj. kradną. Trudno ich złapać, bo dróg z Tarnowa dużo prowadzi, a dozorcy polowania nie mogą każdych jadących sań rewidować. Towarzystwo tych tarnowskich „Moonlighters“ cieszyło się w ostatnich latach śnieżnych wielkiem powodzeniem.

Ciekawy dosyć fakt zdarzył się w tych dniach na stacyi kolei w Tarnowie. Nadesłano tu z Kołomyi, dla tutejszego handlarza starozakonnego, skrzynię, według deklaracyi ze zającami. Urzędnik kolejowy, przyzwyczajony do tego, że zające nie przesyła się zapakowane, kazał skrzynię policyjnie zrewidować i znalazł, oprócz jednego rogacza, cztery kozy.

Na zwierzynę teraz wielka bieda przyszła, śnieg ogromny z wierzchu tak zmarznięty, że zając kopna wygrzebać nie może, a nie dopiero, żeby się mógł z pod śniegu żywić. Jeżeli ten nieszczęśliwy czas dłużej potrwa, to w naszej okolicy przynajmniej, tylko tyle zwierzyny pozostanie przy życiu, ile jej człowiek wykarmi, a niestety nie każdy właściciel polowania poczuwa się do tego obowiązku.

Jako dowód biedy między zwierzyną, przytaczam, iż w tej chwili przywieźli mi dzika, ważącego 148 kilogr., którego żandarm, szukający strzelb u kłusowników we wsi Gumniska, między chałupami postrzelił a chłopi dobili. Wieś Gumniska jest prawie przedmieściem Tarnowa; lasów w bliskości nie ma, w dalszych lasach dziki się nie znajdują, więc tylko głód go przygnał z dalekich stron. *Delegat.*

Stryj w lutym 1891.

(Z Towarzystwa myśliwskiego „Stryj“).

Towarzystwo nasze myśliwskie „Stryj“, ukończyło z dniem 31. grudnia z. r. pierwszy rok istnienia, a z dniem 1. marca t. r. kończy pierwszy sezon łowiecki, może więc nie od rzeczy będzie podzielić się uzyskanymi w tym czasie datami i spostrzeżeniami łowieckimi z szanowną Redakcyą „Łowca“ a przez nią i z szerszem gronem braci w św. Hubercie.

Przed zawiązaniem się naszego Towarzystwa były stosunki łowieckie tak w Stryju jak i w całym powiecie dosyć opłakane. Jak to już w poprzednich moich korespondencyach donosiłem, zwierzyny na gminnych obszarach w całym powiecie było bardzo skąpo, a mimo to można się było często na polowaniach w biały dzień spotkać z kłusownikiem, na targach zaś widać było często zająca i sarnę nieprawnie ubite, a i w restauracyach publicznych nawet w czasia szanowania zwierzyny dostać było można bez żenady pieczeń zajęczą lub sarnią.

Krótki okres istnienia Towarzystwa zdołał już wiele dobrego zdziałać. Przedewszystkiem zalicytowało Towarzystwo polowania na większej części obszarów gminnych i przezto odebrało wielu znanym kłusownikom sposobność do bezkarnego niszczenia zwierzyny na terytoryach przez siebie dawniej dzierżawionych i tymże przyległych. Nie obeszło się tu wprawdzie bez ofiar ze strony Towarzystwa; nie żałowano bowiem pieniędzy przy licytacyach i niektóre rewiry nawet grubo przepłacono, by tylko znanych kłusowników nie dopuścić do dzierżawy.

Dzisiaj, jakkolwiek w naszych kniejach i na polach zwierzyny jest stosunkowo więcej — nie mają już tyle odwagi kłusownicy co dawniej, i przynajmniej publicznie nie sprzedają kradzionej zwierzyny.

Walka z kłusownictwem, jak wszędzie w Galicyi, tak i u nas jest nadzwyczaj trudną. W skutek niejasnej ustawy myśliwskiej, w skutek braku poczucia poszanowania ustaw, lub nieznajomości tychże, dalej, w skutek łagodnej procedury karnej z kłusownikami lub z przekraczającymi w ogóle ustawy myśliwskie, lud nasz wiejski a nawet i miejski nie uważa do dziśdnia ubicia zająca lub kuropatwy na cudzym terytoryum nietylko za czyn, podlegający paragrafom karnym, ale nawet uważa to sobie za chlubę i bohaterstwo. Ileż to razy na polowaniach luźnych słyszałem chłopów dorosłych, chwalących się otwarcie, jak to mu się raz na wiosnę udało ubić 2 zające na raz kijem lub w zimie złapać kilka do stodoły — ileż to kuropatw ginie od kosy i sierpa, a mordercy tychże nawet na myśl nie przyjdzie, że za czyn taki gdzieindziej, na zachodzie, dostać się można do kozy.

Takim kłusownikiem jest prawie każdy dorastający chłopak na wsi, a jest takich tysiące. Cóż dopiero mówić o prawdziwym kłusowniku, któremu zwierzyna cudza przynosi dochód i prawie cały zarobek. Bezkarnie buszuje on po lasach i polach, w nocy siedzi na zasiadkach i bije, co mu pod lufę przyjdzie — zabitą zwierzynę sprzedaje dobrze żydom, a gdy mu się raz noga pośliźnie i wpadnie w ręce strażnika, to cóż go za to czeka? Areszt dwu- lub trzydniowy, w którym się wyspi dobrze, odpocznie i nabierze nowych sił do dalszych wypraw myśliwskich. O strzelbę swoją nie stoi, bo ona kilka szóstek nie warta i prędko drugą taką samą nabędzie, a wprawy i doświadczenia ma dosyć, by się straży nie dać ująć przy zabitym zającu lub sarnie, co by go trocha więcej kłopotu nabawiło.

Lud nasz, szczególniej w górach, do myśliwstwa bardzo sprytny. Każdy góral, to namiętny strzelec i potrzeba bardzo sprytnego, wiernego i czujnego strażnika, by górala, który w swych górach czuje się swobodnym panem, z bronią podejść i broń mu zabrać lub go na gorącym uczynku wyłapać, gdy na sidełka własnego pomysłu, kuropatwy, jarząbki, zające, a nawet sarny wyłapuje.

Towarzystwo nasze dokłada też całych sił, by przynajmniej tych znanych kłusowników trochę przetrzebić i do kozy powsadzać. Jak jednak wyżej wzmiankowałem, jest to u nas bardzo trudno — to też polepszenie stosunków na tem polu postępuje bardzo powoli. Nie opuszczamy wszakże rąk — robimy, co się da robić, a główną naszą nadzieję pokładamy w dobrej i gęstej straży. By mieć łączność, a w danym razie i pomoc, Towarzystwo wpisało się jako osoba moralna do gal. Towarzystwa łowieckiego z tą nadzieją, że stosownie do statutu tego Towarzystwa, a mianowicie §. 1., który opiewa:

Celem Towarzystwa jest:

1. Podniesienie stanu zwierzyny w kraju.

2. Popieranie władz w czuwaniu nad wykonaniem przepisów o polowaniu i w dochodzeniu przekroczeń ustawy łowieckiej z d. 30. stycznia 1875 r. — Wydział tego Towarzystwa nie odmówi nam poparcia i pomocy w pracy nad polepszeniem stosunków łowieckich w naszej okolicy.

Radziłbym wszystkim naszym Towarzystwom myśliwskim w Galicyi, by się również za naszym przykładem do gal. Towarzystwa łowieckiego wpisały — bo jeden i ten sam cel przed sobą mamy, a „hromada to wełykij czołowik“.

Towarzystwo nasze gospodaruje obecnie na następujących rewirach:

1. Rewir gminny miasta Stryja składający się z łozów, lasów, pól i błot.

2. Królewszczyzna, las gminny Daszawy.
3. Synowódzko wyżne, obszar gminny
4. Synowódzko niżne „ „
5. Międzybrody „ „
6. Hromohorb „ „
7. Lubieńce „ „
8. Strychańce „ „
9. Kawczy kąt „ „
10. Dzieduszyce małe „ „

Jestto obszar wynoszący przeszło 20 tysięcy morgów i składa się z pola ornego, łąk, pastwisk, błot, lasów i łóz.

Kilka rewirów stanowi obszar, z których każdy ma swego osobnego łowczego, tak, że Wydział Towarzystwa, składający się z 6 członków, mieści w sobie zarazem i 5 łowczych, z których każdy na posiedzeniu Wydziału zdaje sprawę z owych rewirów i obowiązany jest całym swym obszarem zarządzać.

W rewirach górskich polowanie bywa bardzo rozmaite, i dlatego nadzwyczaj przyjemne — można się tam spotkać z różnorodną zwierzyną, bo jest i jarząbek i słonka, zając, lis, sarna, dzik, wilk a czasem i niedźwiedź zachodzi. Na razie zwierzyna jeszcze rzadka, ale jest, i stan jej da się z łatwością wkrótce podnieść, bo teren wzrostowi zwierzostanu bardzo sprzyjający.

Na nizinach zaś bliżej Stryja, polowanie również przyjemne bywa, w lecie dużo różnego ptactwa, szczególniej błotnego, w jesieni zaś i w zimie znów dosyć zajęcy, a już lisów w łozach nad rzekami to często całe liczne familie.

Zdarzyło mi się w jesieni z. r., że na mnie wyszedł cały rudel lisów, składający się z 4 sztuk. Niestety, strzał był niemożliwy, w skutek złego ustawienia strzelców w łozach, gdzie jeszcze linie nie były wycięte. Ponieważ rudel ten nie wyszedł z miotu po wyjściu nagonki, braliśmy go powtórnie i ta sama historya: 4 sztuki razem wyszły. Po ubiciu jednego z nich, bierzemy miot ten sam po raz trzeci, i znów te same lisy, ale już tylko trzy, najspokojniej wychodzą na strzał, niestety nieśmiertelny, i wracają napowrót w ten sam miot. Ponieważ zmrok już zapadł, nie można było dłużej zajmować się tą familią lisią, którąby z pewnością została do szczętu wybitą.

Widocznie niechętnie opuszczała ona ten szczególny miot, skąd widok na wieś poblizką i zalatujące ztamtąd głosy kur, kaczek i gęsi mile widocznie łechtały jej podniebienie.

W roku ubiegłym liczyło nasze Towarzystwo przeciętnie 18 członków, urządziło 16 gremialnych polowań, na których padło 290 strzałów. Na rozkładach razem było rogaczy 3, lisów 13, zajęcy 64, jarząbków 3, słonek 20, ptaków drapieżnych 5.

Ilość strzelców na jednem polowaniu wynosiła najmniej 4 najwięcej 13, zwykle zaś bywało 7 do 8 strzelb. Prócz tego na polowaniach luźnych w dwóch rewirach dozwolonych na tego rodzaju polowania, padło chruścieli około 200 sztuk, przepiórek około 50, kaczek około 35, krzyków około 40, zajęcy okoio 12 sztuk.

Dodać tu muszę, iż mała ilość ubitej na polowaniach luźnych zwierzyny tłumaczy się tem, że stosunkowo bardzo mało członków chodziło na luźne polowania, gdyż większość członków nie lubi błotnych polowań, jakkolwiek mojem zdaniem to najprzyjemniejsza zabawa.

Służba ubiła 3 psy, 10 kotów, kilka jastrzębi, kilkadziesiąt srok i tyleż wron, stosunkowo bardzo małą ilość, jak na 10 strażników, których Towarzystwo utrzymuje. Wydział postarał się jednakże, by służba lepiej wypełniała swe obowiązki, co nawet w jej interesie leży, gdyż za każdą ubitą sztukę dostaje premię.

Polowanie na kuropatwy było w tym roku we wszystkich rewirach zamknięte, nie padła też ani jedna sztuka. Rezultat tego szanowania już dzisiaj widoczny, bo obecnie posiada Towarzystwo około 12 stadek, które, jeżeli dobrze przezimują, powinny się w przyszłym sezonie znacznie rozmnożyć.

Polowania gremialne odbywały się z zasady w każdym rewirze dwa razy w roku, tj. raz w jesieni, raz w zimie. Z powodu jednakże wielkich obszarów i braku czasu, polowano w wielu rewirach tylko raz jeden w zimie, a jeden większy rewir, jakoteż i wiele bardzo miotów w reszcie rewirów, pozostały zupełnie nietknięte, szczególniej w rewirach górskich, gdzie z nagonką nie wszędzie polować można. Mioty, gdzie nagonka dojść nie może, jak debry, skały, jary i doły, gdzie zwierzyny najwięcej, zostawiono na rozsadnik.

Rezultat całoroczny ogólny, co do ubitej zwierzyny, przedstawia się naturalnie bardzo nieszczególnie, tem bardziej, gdy go się porówna z sprawozdaniami polowań podanymi w „Łowcu“, gdzie na jednem polowaniu często więcej pada zwierzyny.

Proszę jednakowoż to mieć na uwadze, że Towarzystwo istnieje dopiero rok jeden, że więc polowania powyższe były niejako rekognoskowaniem terenu i stosunków łowieckich, na których więcej chodziło o zbadanie kniei i wygotowanie planów podniesienia zwierzostanu, niż o ubicie tejże, — dalej, że stosunki łowieckie przed zawiązaniem się Towarzystwa a po części jeszcze i teraz są bardzo trudne i postęp ku lepszemu bardzo powolny, w końcu, że Towarzystwo na razie dzierżawi tylko obszary gminne, których dozór nadzwyczaj trudny, a najstaranniejsza nawet hodowla zwierzyny często daremna.

Mamy nadzieję, że już rok obecny przy swym końcu całkiem inne wykaże rezultaty, które oby były najlepsze, o czem w swoim czasie nie omieszkam zdać relacyi.

B. W.

Starzyska d. 20. lutego.

(Polowanie z chartami na dziki).

Między Zawidowicami a Lubieniem rozciągały się przed laty przeszło czterdziestu, po obydwóch stronach obecnego gościńca krajowego, wiodącego ze Lwowa do Sambora, łąki bez miary i końca, aż hen, w dal, pod same miasteczko Komarno, kwaśne, błotne, bagniste, porosłe sitowiem i szuwarem. Wtenczas to jeszcze, ile razy na wakacyach, polując z wyżłem, „ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedłem w pole“, zdarzało mi się tam widywać istne *fata morgana* — wieżyce, kościoły, miasta całe, że nie dziw, iż niejednego dubelta lub kszyka chybiłem, zatopiony w tych cudnych obrazach!

Cywilizacya, walka o byt, lub też chciwość przemieniły zwolna te obszary w łąki, w pola i nieużytki... ale cywili-

zowane — bo nieraz pokazało się, że po wydatkach i pracy usilnej... „wary wodę, woda bude“.

I ja też nie oparłem się temu prądowi. Posiadając do dwieście morgów takiej łąki, przerzynałem ją rowami, osuszałem, a miejsca najwięcej bagniste, dwadzieścia i dwa morgów, zasadziłem łoziną. Referent komisyi katastralnej był jedynym w swoim czasie, który ocenił te łąki wysoko, ale że to piszę do „Łowca“, nie chcę wchodzić w krytykę tej oceny — to jednak jest pewna, że owe dwadzieścia dwa morgów nie dają mi intraty, ale zato wiele przyjemności.

W roku mokrym i cywilizacya nie pomoże; step, suchy na pozór, przemienia się znowu w bagno, woda pokrywa wyorane z trudem skiby, i zamiast pszenicy, łany stają się znowu ulubionem miejscem dla kszyków i kaczek.

Droga, wiodąca z Lubienia do Sambora, przecina te bagniste obszary, a jej początek koło Lubienia staje się *defilée* wysoko strategicznem, tak dalece, iż przy manewrach, które miały miejsce w tych stronach, jenerał oświadczył, iż jedną kompanią możnaby wstrzymać na tej drodze cały korpus maszerujący, młody zaś oficer sztabu twierdził nawet iż jedna... *belle-mera* na to wystarczy!

Otóż na tym stepie, latem czy zimą, owe 22 morgów łoziny stają się punktem wytycznym, zdaleka widocznym, pożądanym dla każdej zwierzyny wśród ogólnego pustkowia. Lat temu kilka, zabito w tym kawałku dziewięć lisów, ośm zajęcy, kozła i borsuka — istne polowanie, co do ilości zwierzyny równać się mogące z polowaniem w Austryi i Czechach. W tem miejscu głównie ćwiczyli się synowie moi w strzelaniu dość trudnem, bo zając lub lis, debuszując z jednego do drugiego miotu, przez linię na półtora sążnia szeroką, musi być na niej zastrzelonym, lub minie w drugą stronę w gąszczach bez możebności strzału.

W tym roku owa łozina unieśmiertelniła się wypadkiem, mnie dotąd przynajmniej nieznanym, pewnie rzadkim, a który daje mi powód do korespondencyi z „Łowcem“.

Dnia 12. lutego, syn mój, wziąwszy charty na sanie, pojechał około 3 godziny po południu na lisy, których w tym roku, z powodu niezliczonej ilości myszy, niestety w tej okolicy jest wiele. A że najłatwiej spotkać się z lisem w bliskości łoziny, puścił się więc w ową stronę. Na widnokręgu całej tej przestrzeni białej i bez skazy, nie było widać niestety nic i pomimo wytężenia oczu, upragniony „punkt, który się rusza“ nie okazał się. Właśnie chciał końmi nawrócić i szukać gdzie indziej szczęścia, gdy chłopak, który trzymał charty na saniach, powiada mu: „Proszę Pana, pod samą łoziną coś czarnego się rusza, trzeba się popatrzyć, co też to jest“. Z niechęcią syn mój skierował konie ku samej łozinie w ogromne zaspy śniegu, a gdy był już blisko — cóż ujrzał? Dwa warchlaki debuszują z łoziny i idą w pole. Nie mając strzelby ze sobą, ani nawet kija, puszcza charty. Za chwilę charty dopadają jednego, trzymając za słuchy, kwik się rozlega, ale udusić go nie mogą! Syn mój z furmanem stoją bezradni! Nie mają nic w rękach, by warchlaka dobić; wtem przychodzi im myśl, odczepienie orczyka od sani i użycia go jako broń sieczną. Po wielu mozołach, podczas gdy charty ciągle trzymają dzika, udaje się im to nareszcie z wielką biedą. Pod uderzeniami silnych ludzi legł wreszcie ów warchlak.

Podczas całej tej długiej i mozolnej operacyi, konie zostawione same, bez jednego orczyka, porwały wszystko i uciekły. Drugi warchlak salwował się, idąc potem ku Lubieniowi.

Ze dwie godziny potrzebowali, by konie połapać, orczyk na nowo założyć i ze zdobyczą jednego warchlaka puścić się w pogoń za drugim. Trop bardzo wyrazisty śród czystego pola — ale dwie godziny stracone, zmrok zapadł, nie podobna go więc było dopędzić.

Dzień ten miał być jednak klęską zupełną dla tych biednych warchlaków, gdyż drugiego ubił następnie bar. Adolf Brunicki pod Lubieniem.

Otóż owa łozina jest etapą pomiędzy lasami Lubienia i Komarna wśród pustego stepu i tak tłumaczyć sobie można, iż zapewne osierocone warchlaki tę drogę odwrotu z Komarzańskich lasów sobie wybrały.

Edward Zawidowski Weissmann.

Lubień 12. lutego 1891.

(Pogoń za dzikiem).

Powracałem dziś około 4 po południu z żoną sankami, z Gródka do domu. Droga wiodąca przez Małkowice nie przedstawia szczególnego uroku, gdyż prowadzi przeważnie przez same pola. To też zdrzemnąłem się w sankach i zacząłem już śnić o agitacyi wyborczej do Rady państwa, która chwilowo zajmuje całe miasto Gródek. Wtem nagle furman nasz woła: „O, jaki dzik idzie przez pole!“ Otworzyłem oczy i widzę, że jesteśmy o ćwierć mili od domu. Po prawej stronie drogi chałupy wiejskie, po lewej pola, i na nich, w odległości około 150 kroków od drogi, idzie rzeczywiście jakieś stworzenie, podobne do dzika. Przypuszczając, że tuż koło wsi zabłąkał się dzik swojski, który tylko w oczach furmana przybrał szlachetniejszą postać, każę furmanowi trochę pospieszyć, by się dokładniej przekonać, z kim mamy do czynienia — a owa czarna postać, nie zastraszona odgłosem dzwonka od sań, zdąża prosto w tym samym kierunku, równolegle do drogi i od czasu do czasu zarywa się w śnieg. Wtedy dopiero poznałem, że furman miał słuszność — to prawdziwy dzik. Zaczynam przeklinać los, który mi nastręcza takie spotkanie w chwili, kiedy oczywiście nie miałem strzelby. Popadłem w stan gorączkowy, który tylko myśliwy pojąć zdoła, a furman, wiedziony jakimś osobliwszym instynktem, nie skręca na prawo do domu, lecz pędzi dalej prosto drogą, dzik zaś postępuje ciągle równo z nami.

Wtedy to moja żona, która nieco chłodniej sprawę traktowała, zreflektowała mię słowami: „Po co my właściwie jedziemy?“ Na to ja opamiętałem się chwilowo i pojąłem, że pędzić bez strzelby za dzikiem po polu, na nic się nie przyda. Chciałem już kapitulować, gdy wtem furman przypomniał mi, że na folwarku jest strzelba rządcy.

W jednej chwili byliśmy na folwarku. Porwałem strzelbę i chciałem ruszyć fornalką przez pola, by dzikowi. który zdążał wprost do gościńca lwowskiego, odciąć drogę — lecz niestety, jak to zwykle bywa, wszystkie fornalki były w robocie. Nie było więc innej rady, jak jechać dalej za dzikiem mojemi sankami, które są kute, krótkie, jednem słowem miejskie.

Mój rządca, zapalony myśliwy, zaledwie zdążył odciąć dzwonek nożykiem, a już przysiadł się do mnie i pędzimy na gościniec, sądząc, że dzik jeszcze do gościńca nie doszedł. Tymczasem, z bolem serca, spostrzegliśmy go już po drugiej stronie, idącego najkrótszą drogą do mego lasu. Nawracamy więc na miejscu i jedziemy znowu na folwark, by przez gumno dostać się na polną drogę i zajechać dzika od lasu. Wpadamy na zamkniętą bramę od gumna! W desperacyi zacząłem znowu los przeklinać i powtarzałem ciągle słowa mej żony: „Po co ja właściwie jadę? Przecie dzik nie

czeka“. Wreszcie po długiem majstrowaniu (trwało to najmniej 10 minut) otworzył gumienny bramę, która miała nas prowadzić do lepszej przyszłości.

Tymczasem dzik, w nieprzerwanem tępie zmierzał wprost do lasu, a tylko rzadko zarywał się cały w śnieg, by prawdopodobnie odświeżyć swe siły. Z tych to chwilowych wypoczynków dzika skorzystał furman, zaciął konie brnące w wysokim śniegu i tak, jadąc znowu równolegle z dzikiem, udało mu się po chwili wyprzedzić go i wedle programu, zajechać mu drogę od strony lasu. Tu zeskoczyłem z sanek i przysiadłem w śniegu, podczas gdy sanie odjechały zaledwie o 60 kroków.

Dzik, widocznie ogłupiały naszą taktyką, stanął mi na sztych o jakie 100 kroków, wpatrzył się we mnie, poczem, nie oglądając się na sanie, zaczął sadzić wprost na mnie w pełnym galopie, silnie fukając.

Przyznam, iż chociaż często spotykam się z dzikami, uczułem chwilę niepewności. Nie znając strzelby, bałem się strzelić na sztych do dzika, idącego całym pędem, a spotkanie rozjuszonego zwierza na czystem polu także nie dodawało mi otuchy. Sądząc przeto, że się dzik zwróci, gdy zmienię pozycyę, powstałem, lecz w tej chwili ujrzałem go tuż pod nogami o 2 lub 3 kroki. Mechanicznie machnąłem kilka razy lufą, i wtedy dopiero dzik odskoczył w bok. Strzeliłem za nim kulą na 20—25 kroków i zabiłem go na miejscu.

Jest to wycinek dwuletni, nie wielki, którego widocznie w dalekich lasach ścigano, gdyż był bardzo zmęczony. Tej to ostatniej okoliczności mam do zawdzięczenia pomyślny wynik mej oryginalnej wyprawy*). *Adolf Brunicki.*

Dolina 23. lutego 1891.

(Ukarana wilczyca).

Ciekawy przypadek zdarzył się w Nowosielicy, obok Mizunia. Dnia 17. lutego, z brzaskiem dnia, wybrałem się fornalką do kamieniołomu w Nowosielicy. Jadąc gościńcem, do którego przypierają niesłychanie rozwlekłe łozy, spostrzegłem tuż przy drodze jakąś farbę; poleciłem więc furmanowi, aby stanął, gdyż chciałem zbadać, jaki to zwierz farbuje. Przybywszy do tropu rozpoznałem, że są to ślady grubego wilka. Postąpiłem kilkanaście kroków za farbą, chcąc się przekonać, co też za zdobycz powlókł ten niesłychany rabuś, i niebawem znalazłem w łozach rozszarpanego psa. Był to wyżeł rasy angielskiej, własność p. leśniczego Grenzona z Nowosielicy. Zdjąwszy ładną obrożę zagryzionemu wyżłowi, udałem się wprost do p. Grenzona i opowiedziałem całe zdarzenie. P. leśniczego dotknęła przykro strata ulubionego psa i postanowiliśmy ją pomścić. Posłano natychmiast do miejscowego naczelnika gminy i gospodarza Ołeksy Kiszczuka z Nowosielicy, którzy są myśliwymi i posiadają paszporty na broń, mnie zaś wręczył p. Grenzon swoją rusznicę i w ten sposób uzbrojeni we czterech udaliśmy się na miejsce czynu.

Ołeksa, obszedłszy pewną część łozów, przekonał się, że wilk nie wyszedł, zajęliśmy więc posterunki, a przywołanemu chłopu polecono, aby szedł cicho za tropem wilka. Wkrótce też pokazał się zbrodniarz, a szczęście sprzyjało Ołeksie Kiszczukowi, na którego się wilk na sztych o kilka kroków wysunął. Salwą śmiertelną powitany, padł na miejscu. Była to wilczyca szczenna niesłychanych rozmiarów. Skórę z niej odesłano zarządcy lasów skarbowych p. Pallasowi w Mizuniu, który polowanie w Nowosielicy dzierżawi.

Jerzy Regner.

*) Patrz korespondencyę ze Starzysk.

Hermanowice w lutym.

(Wyprawa do Lenkoranu).

Wywiązując się z danego przyrzeczenia*), posyłam wam sprawozdanie z wyprawy mej do Lenkoranu, dokąd się z Tyflisu w towarzystwie doktora T. udałem. Była to wyprawa wielce nużąca, gdyż trzeba było przebyć przestrzeń kilkusetwiorstową, w której mieściło się 340 wiorst najniewygodniejszą perekładną przez znaczną część tatarskich stepów Bakińskiej gubernii. W ciągu podróży widzieliśmy na wstępie, na dużem jeziorze *Adżikabulskiem*, masę wodnego ptactwa, a także dużych orłów nad niem krążących. Nie przypuszczałem, podejmując dalszą ekspedycyę, że mieszkańcy tego jeziora staną się wyłączną nagrodą moich znacznych trudów.

Za przybyciem do Lenkoranu, które jest miasteczkiem, mało więcej nad tysiąc mieszkańców liczącem, a posiada urząd powiatowy, sztab pułkowy kozaków liniowych, lub czasem mieniającą się piechotę, juryzdykcyę sądową, pocztę, klub wojskowy i jeden tylko zajazd z dwoma numerami, miernej czystości, a silnej wilgoci — postarałem się natychmiast wysłać umyślnego do p. pełnomocnika J., do którego miałem uprzejmą rekomendacyę od hr. K., zacnego rodaka w Baku, prosząc o danie mi koniecznych wskazówek i pomocy w polowaniu. Niestety, na wstępie już doznałem zawodu, bo p. J. odpowiedział, iż pomimo najszczerszych chęci, nie może z majątku administrowanego wyjechać, a to dla zająć z mirowym sędzią, który tam czynność odbywa i zaledwie za dwa dni ją ukończy. Nie mając lepszej szansy, trzeba było trzymać się znajomości, jaką miał mój towarzysz w doktorze tam mieszkającym. Był to dr. K., Litwin, człowiek już wiekowy, a dom jego pełen uprzejmości i gościnności. Przykrość podróży osłodziła więc sowicie dwudniowa gościnność pani K. i jej upominek w skórze szakala i ładnym bażancie, gdyż z powodu mizernych tatarskich kundli, nie mogących gonić dzika, jak również dla braku wyżła na bażanty, ani pierwszych ani drugich zapolować nie można było.

Widząc niefortunne zabiegi moje, pragnąłem zwiedzić przynajmniej wody mineralne Lenkorańskie w dzikim stanie będące, i uprosiłem uprzejmą gospodynię o konie siodłowe, które były zarazem zaprzęgowymi, i na tych z przewodnikiem ruszyłem do rzeczonych źródeł, o 14 wiorst oddalonych. Droga między lasami była tak grzęzka, iż zaledwie stępo kroczyć można było. Dotarłem nareszcie do celu, ale spotkała mnie tu nowa fatalność; przy złażeniu z konia, noga w ciasnym strzemieniu tak mi uwięzła, iż jej doraźnie oswobodzić nie mogłem, gdy zaś koń jednocześnie w tył się rzucił, upadłem i byłem po ziemi ciągniętym. Gdyby nie prędkie wstrzymanie konia przez przewodnika i dozorcę miejscowego, byłbym doznał silnego uszkodzenia, tem bardziej, iż koń był nad spadzistością kilkudziesięciustopową.

Po obejrzeniu leczniczej miejscowości, którą określić można tylko jako arcypierwotną i dziką, wsiadłszy na uspokojonego rumaka, który jak wszystkie tamtejsze konie był płochliwym, wróciłem do mieszkania pani K., której przygodę opowiedziałem, i po pożegnaniu obojga gospodarstwa, udałem się na drugi dzień przed południem tąż samą drogą na perekładnej ze służącym, bo towarzysz mój zwrócił się morzem do Baku. Po drodze próbowałem strzałów do orłów i czapel wzlatujących nad bagnami, lecz wszystkie za nadto wysoko szybowały.

Po noclegu na stacyi, utrzymywanej przez Rosyan z sekty Mołokanów, bardzo uprzejmych i gościnnych, cały dzień na-

*) Patrz „Łowiec“ Nr. 2.

stępny jechałem bez wypoczynku, aby dotrzeć można było do pociągu w Adżikabule i ztamtąd ruszyć do Ewłach dla powetowania choć w części niepowodzeń wycieczką na ptaki, bażanty lub turacze. Inaczej jednak się stało, gdyż ostatni jemszczyk pocztowy był lichy Tatar, i spóźnił się do pociągu. Trzeba więc było pozostać na stacyi, z widokiem 24-godzinnego oczekiwania na najbliższy pociąg.

Nim przejdę do dalszego opowiadania mej podróży, wspomnieć muszę, iż tygrysy zachodziły dawniej rzeczywiście z Persyi do Lenkoranu, ale od ośmiu laty przeniosły się do miejscowości około Pryszyba, oddalonego o trzy stacye od Lenkoranu. Poinformowany, udałem się do leśniczego rządowego tamże, a ten ukazał mi dwie skóry pięknych samic, ale żadnej odstąpić nie chciał, oświadczając, iż je uważa jako swoje wychowanki, które jednak podwładnym służbowym zabić zalecił. Miał on także dwie skóry pięknych i zdobnie cieniowanych rysi, ale także otrzymanych amatorskim sposobem.

Po noclegu w Adżikabule, na drugi dzień udałem się do jeziora, o którem na wstępie wzmiankowałem. Tu przedsiębiorca połowu ryb, których mnóstwo wyciągniętych oprawiano, udzielił mi czółna i wożącego, młodego Tatarzyna. Z tym tedy wioślarzem i służącym udaliśmy się na jezioro, a po nawigacyi kilkogodzinnej i przeglądnieniu ścian trzcinowych, udało mi się zabić trzy orły większe i mniejsze, dalej dwa nury i kilka łysek większego rozmiaru, z których parę dostać można było, gdyż inne rozsypały się postrzelone w trzcinach. Zabrawszy te moje jedyne trofea, ocalające ambicyę myśliwską, ruszyłem pieszo do stacyi i ledwie zdążywszy na pociąg, wróciłem do Tyflisu.

W Tyflisie zabawiłem jeszcze trzy dni dla załatwienia niezbędnych czynności zakupna pamiątek i pożegnania znajomych, od których doznałem uprzejmości przyjęcia. Stamtąd ruszyłem do Gori, w celu zwiedzenia kamiennego miasta z czasów bałwochwalczych, a następnie do Michajłowa, stacyi kolei żelaznej, z której 50 wiorst do Borżomu, rezydencyi letniej byłego namiestnika Kaukazu. Trzy stacye pocztowej drogi prowadzą do tej miejscowości prawdziwie uroczej, a kierowałem się tamże z rekomendacyą otrzymaną od zacnego Dra z Władykaukazu do pełnomocnika Jego Wysokości.

Na wzmiankowanej stacyi oświadczono mi, iż p. pełnomocnik wyjechał, ale szczęśliwie wracał jego pomocnik p. L., hanowerczyk, który mnie zaprosił do swego ekwipażu i ruszyliśmy nocą do Borżomu. Tam przybyliśmy dość zziębnięci, jak w górskim klimacie, jadąc nad rzeką wśród gór okrytych lasem. Gościnność gospodarza, choć pochodzenia germańskiego, usunęła wszelkie trudności, a lubo nie było pani domu, zamieszkałej czasowo dla edukacyi dzieci w Tyflisie, jednak dobre chęci zastąpiły troskliwość kobiecą.

Na drugi dzień uprzejmy p. L. pokazał mi wody mineralne, utrzymane bardzo porządnie, dalej pałac z wszelkimi ubikacyami, potem oranżerye, cieplarnie itd. zarządzane przez Niemca z Estonii. Następnie poznałem leśniczego, młodego Czecha, którego uprosiłem, abyśmy wyszli na ranny obchód niedźwiedzia, jakie się tam znajdują ale są bardzo trudne w dojściu do strzału. Zgodził się na to, bo na inną zwierzynę polować tam nie wolno, tylko przy bytności W. Księcia. Wczesnym więc rankiem wybraliśmy się konno pod góry, następnie zaś pieszo do lepszego stanowiska. Pobywszy tam blizko pół godziny, ujrzałem jelenia na kilkadziesiąt kroków, ale tylko dla przypatrzenia się przez dłuższą chwilę temu ładnemu okazowi.

W roku zeszłym sprowadzono do zwierzyńca, mającego 25 wiorst obwodu, 58 łań od hr. Karoly z Węgier. Wraz z transportem kosztowały one 7.400 rubli i dojechały dobrze, tylko obecnie były nieco chude. Po tym przeglądzie wróciłem do p. L., a podziękowawszy mu za uprzejmą gościnność, ruszyłem w moją drogę. *J. R.*

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Busku, w kniejach J. E. hr. Kaźmierza Badeniego, odbyło się polowanie w dniach 13. i 14. lutego, przeważnie na dziki. W polowaniu tem brał udział arcyksiążę Leopold Salwator, prócz tego byli zaproszeni: marszałek krajowy ks. Eustachy Sanguszko, komendant korpursu książę Windisch-Graetz, ks. Adam Sapieha, Ludwik hr. Wodzicki z Wiednia, generał Löhneysen, Stanisław hr. Gołuchowski, Juliusz Bielski, Zdzisław Skrzyński, August Stojowski i Stanisław Niezabitowski.

Wynik łowów był świetny. Padło 14 dzików, 3 kozły i 2 lisy. Między innymi arcyksiążę położył 2 dziki, 4 zaś padły od strzałów ks. Adama Sapiehy.

— W Rozdżałowie, u hr. Alberta Cetnera, polowaliśmy d. 21. i 22. stycznia. W rewirze „Korczyn“ wzięliśmy miotów 12, strzałów padło 150, a zabiliśmy 1 rogacza, 1 lisa i 67 zajęcy. D. 23., 24. i 26. stycznia polowaliśmy w rewirze „Rodżałów“ i wzięliśmy 18 miotów. Strzałów dano 126 i padło 3 dziki, 2 rogacze, 1 lis, 50 zajęcy i 1 jarząbek. Strzelców było ośmiu, a w jednym dniu dziesięciu.

Od kilku lat włóczące się ciągle wilki znacznie zmniejszyły stan sarn, w skutek tego strzelaliśmy tylko do dużych bardzo rogaczy, puszczając wszystkie mniejsze bez strzału. Z lisami nie mieliśmy szczęścia, bo w jasne i mroźne dni na pole za myszami wyszły tak, że ledwie kilka w lesie zachwyciliśmy.

Stan zajęcy znakomicie się podniósł, tak, że obecnie knieję Rozdżałowską do pierwszorzędnej w tej okolicy nie waham się zaliczyć. Gdyby nie to, że w ostatnich trzech dniach głównie za dzikami szukaliśmy, można było z łatwością i 150 zajęcy ubić.

Żadnego miotu drugi raz nie powtarzaliśmy, a wiele jeszcze opuściliśmy, nie chcąc bić więcej drobnej zwierzyny. Śliczna to knieja i śliczne polowanie, istna rozkosz dla prawdziwego myśliwego, gdyż różnorodność zwierzyny, idąc w parze ze znakomitą łowiecką organizacyą, czyni dla uczestników tych łowów pobyt w Rozdżałowie nad wyraz miłym i interesującym. Z ciężkiem zawsze sercem, ale odświeżonym umysłem żegnamy miłego gospodarza okrzykiem: Do widzenia na rok przyszły!

Włodzimierz Garapich.

— W Łówczycach, u hr. Henryka Starzeńskiego, polowaliśmy d. 14., 15. i 16. stycznia w jedenaście strzelb. Ubiliśmy 14 rogaczy, 21 lisów i 74 zajęcy. Strzałów padło 265, miotów wzięto ogółem 30.

Pod osobistem kierownictwem gospodarza było całe polowanie nadzwyczaj wzorowo prowadzone, a szczególniejsze uznanie należy się nagonce, która, przez leśniczego i gajowych prowadzona, szła zupełnie cicho, a tak znakomicie, że nawet zwierzyna w tył uderzająca, najmniejszego wrażenia ani popłochu nie sprawiała na naganiaczy, postępujących ciągle zwartym szeregiem i wypierających zwierzynę na linię strzelców. Sam właściciel, doskonale znający knieję, gości ustawiał i dał dowód, że jest nie tylko doskonałym

strzelcem, ale i prawdziwym myśliwym, co z tem większem uznaniem podnoszę, że dziś niestety, czem raz więcej strzelców, a czem raz mniej myśliwych spotykam.

Były mioty, w których naliczyłem do 12 lisów, a były to nadzwyczaj gęste łozy nad Stryjem, w których tylko tak znakomicie wyćwiczona nagonka, mimo gęstych strzałów, lisy te na strzelców wyprzeć mogła.

W łowach brała także udział pani hrabina Starzeńska, która mimo 10-stopniowego mrozu trudy z nami dzieliła i to z wielkiem powodzeniem, gdyż zabiła kilka sztuk różnej zwierzyny.

Całe polowanie, bez żadnych nadzwyczajnych a tak dziś modnych sztuczek prowadzone, było dla mnie, starego myśliwego, prawdziwą rozkoszą. *Albert Cetner.*

— W Starzyskach, u p. Edwarda Zawidowskiego-Weissmana, odbyło się w dniach 29. i 30. stycznia w jedenaście strzelb polowanie, na którem padło 6 dzików, (2 odyńce, samura i 3 wycinki), 10 kozłów i 38 zajęcy. W jednym z rewirów, gdzie dawniej bogaty był stan sarn, jest obecnie pustka, bo włościanie z Dobrostan i Szkła chwytają sarny na sidła, co w lecie nie da się prawie powstrzymać.

— W Lubieniu, u bar. A. Brunickiego, odbyło się w dniach 21. i 22. stycznia polowanie w jedenaście strzelb. Padło 2 dziki, 4 kozły, 2 lisy i 72 zajęcy. *Delegat.*

— W Błoniu pod Tarnowem, majątku p. Franciszka Jordana, odbyło się d. 6. lutego polowanie na rogacze w sześć strzelb. W ciągu trzech godzin ubito 8 rogaczy. Przed kilku laty była tu sarna osobliwością, mamy więc dowód, co może zdziałać staranne i racyonalne prowadzenie polowania i opieka nad zwierzyną. W styczniu b. r. padło w tej samej kniei 6 rogaczy, a oprócz tego pozostała wystarczająca ilość rogaczy dla należytego ich rozpłodu. Dodać należy, iż las cały nie przenosi 200 morgów obszaru i nie jest z żadnymi lasami złączony. *Nowicki*, podleśniczy.

— W Kolendzianach, u p. Kornela Horodyskiego, na polowaniu, odbytem d. 30. i 31. grudnia z. r. padło 6 dzików, 3 rogacze, 2 lisy i 120 zajęcy.

— W Uniżu, u p. Władysława Przybysławskiego, ubito podczas dwóch polowań w tegorocznym sezonie w grudniu i styczniu 15 dzików, 3 rogacze, 7 lisów i 25 zajęcy, do których pierwszych dni, podczas polowania w grudniu, nie strzelano. *Kazimierz Przybysławski.*

— W Brześcianach, u p. majora Pawlikowskiego, odbyło się dnia 31. stycznia r. b. polowanie w 13 strzelb. Ubito 63 zajęcy, 12 kozłów, 2 lisy i psa na swoją rękę polującego. Strzałów padło 159. Miotów wzięto siedm. Śniegi wielkie utrudniały chodzenie nagonce i zwierzyna rudlami szła na skrzydła, szukając ścieżek, tak, że n. p. w ostatnim najlepszym miocie na jednej flance padło strzałów 12, na drugiej 25, a front cały zupełnie nie strzelał. Biorąc miot piąty, zastaliśmy na rzepaku przeszło 40 sztuk sarn. Spędzone z pola, poszły w miot 6ty, który wzięliśmy zaraz, lecz nie zastaliśmy tam ich więcej nad 10 sztuk. Gdyby nie tak wielkie śniegi i rewir Brześciański zawiejami śniegowymi nie był zawalony, byłoby niezawodnie dwa razy tyle zwierzyny padło. *Jan Ostrzechowski.*

— W Połtwi, majątku p. Michała Torosiewicza, odbyło się dnia 21. lutego polowanie w dziesięć strzelb. Wzięto pięć miotów i ubito 7 kozłów, dzika i lisa.

W korespondencyi z Wysuczki w poprzednim numerze „Łowca“ opuszczono w spisie gości p. Krzysztofa Abrahamowicza. Uzupełniamy to niniejszem z dodatkiem, iż myśliwy ten zabił na polowaniu w Wysuczce rogacza i 14 zajęcy.

Z Królestwa Polskiego.

— W Staszowie, w lasach Rytwiańskich hr. Andrzeja Potockiego, ukończono w d. 24. stycznia polowanie dziesięciodniowe. Ubito na niem w dziesięć strzelb 705 zajęcy, 37 dzików, 4 rogacze i kilkanaście bażantów. Charakterystycznem jest, że nie ubito ani jednego lisa. Dwa zające zabito kulami. Jeden z ubitych odyńców ważył 210 kilogramów. Grono myśliwych, oprócz gospodarza, stanowili; hr. St. Zamoyski, hr. Tarnowski, ks. Lubomirski, hr. Branicki, hr. Sierakowski i kilku jeszcze zaproszonych gości.

— W Jabłonnie, u hr. Augusta Potockiego, polowano w d. 31. stycznia 3., 6., 7. i 10. lutego w 12 do 14 strzelb i ubito: 2 dziki, 42 rogaczy, 787 zajęcy, 1 bażanta i 6 lisów, razem 838 sztuk. Strzałów dano 1769.

— W Jabłoni, w pow. radzyńskim, dobrach hr. Tomasza Zamoyskiego, odbyło się w dniach 26., 27. i 28. stycznia polowanie na zające i bażanty w dziesięć strzelb. Pomimo bardzo niesprzyjającej pogody, w pierwszym dniu, przy polowaniu kociołkowem na polach, zabito 57 zajęcy, a w następnym dniu w lesie 139, czyli razem 196 sztuk zajęcy.

Przedmiotem polowania w dniu ostatnim były bażanty w pięknie urządzonej bażantarni przy pałacu i tych zastrzelono sztuk 140, czyli prawie całą ilość do zabicia w r. b. przeznaczoną. W lesie widziano kilkadziesiąt sarn, a do kozłów nie strzelano, gdyż polowanie na nie odbywa się tylko w jesieni na podjazd i strzela się do nich kulami.

— W Imielnie, w pow. kutnowskim, odbyło się w d. 20-ym stycznia u p. Ryszarda Skarzyńskiego polowanie, na którem w jednym dniu, w trzynaście strzelb, ubito: 162 zajęcy, 1 rogacza i 1 wilka.

Ukazanie się wilka w jednym z miotów, było prawdziwą niespodzianką dla myśliwych, gdyż oddawna już o wilkach w okolicy tej nie słyszano.

— W Krasnemstawie, odbyło się w d. 5. lutego w lasach rządowych polowanie, urządzone staraniem członków Warszawskiego Towarzystwa myśliwskiego. Padło na niem 22 zające, 7 kozłów i olbrzym odyniec, który, jeśli można wierzyć relacyom pism warszawskich, ważył 1032 funtów. Olbrzyma wysłano do Warszawy, gdzie ma być umieszczony w gabinecie zoologicznym.

Pomiędzy ubitymi kozłami był jeden o trzech nogach; czwarta była dawniej odstrzelona, a rana w skutek tego skaleczenia zabliźniła się.

— Kucharach, u p. Przemysława Rzewuskiego, odbyło się d. 26. stycznia polowanie w pięć strzelb, wyłącznie na stu morgach zagajników, na których padło 84 zajęcy.

— W Karsznicach, majątku p. Wernera, na polowaniu w ośm strzelb, ubito w ciągu jednego dnia rogacza i 78 zajęcy.

— W Silnicy, w gubernii piotrkowskiej, u p. Karola Siemieńskiego, odbyło się w d. 15. i 16. stycznia polowanie, na którem padło 70 zajęcy, 5 rogaczy i 3 lisy. Jak i na innych polowaniach, tak i tutaj, wielkie śniegi i zamieć wpłynęły niekorzystnie na rezultat łowów.

KRONIKA.

W poczet członków galic. Towarzystwa łowieckiego został wpisany W. p. Kornel Mikołajewicz.

Na rzecz Towarzystwa ofiarował J. W. hr. Józef Potocki 15 egzemplarzy znakomitego dzieła swego: „Notatki myśliwskie z Indyi“, które zostały pomiędzy miłośników łowiectwa rozsprzedane.

Dziki dopuszczają się tej zimy, zapewne w skutek zawalnego śniegu i trudnego wyżywienia się, niezwykłych wybryków. Podajemy już niektóre fakta w korespondencyach, a oto co doniosła świeżo *Pogoń* tarnowska: „Robotnicy kolejowi, zajęci przy torze linii tarnowsko-leluchowskiej (przy budce Nr. 3.), zobaczyli dzika jak pędził koło szkarpy. Jeden więc z nich stanął dalej nad szkarpą z łopatą (t. z deksIą, służącą do mierzenia progów kolejowych) — chcąc dzika żelazem uśmiercić. Tymczasem za figiel, który on chciał wyprawić dzikowi, spłatał jemu los figla, bo uderzenie łopatą nie zadało śmiertelnego ciosu i dzik uciekał dalej. Gdy mu drogę zabieżono, dzik, zwróciwszy się, sunął wprost na przeciwnika, chcąc się pomiędzy nogi jego przedostać, lecz chłop za ogon chwycił i puścić nie myślał, i dosiadłszy go jak konia (tyłem ku frontowi zwrócony), pędził tak dobry kawałek drogi, aż znużony a może wygłodzony dzik upadł bezsilny i dopiero drugi robotnik narzędziem żelaznem go dobił.

Tego samego dnia przed stacyą Wola rzędzińska inni robotnicy widzieli również dzika niepospolitej wielkości, ale mimo wytrwałej pogoni złapać go nie zdołali“.

Wilcza kronika. Z różnych stron dochodzą nas wiadomości o włóczeniu się wilków i napadach ich na bydło i na ludzi. Nad granicą, w części kraju, sąsiadującej z lasami ordynacyi Zamoyskiej i z Wołyniem, więcej się pojawia tych drapieżców niż zazwyczaj.

Z Radomyskiego donoszą, że w nocy z 5. na 6. lutego, zdążali parobek i dziewczyna ze wsi Nianiewki na nabożeństwo do wsi Worsówki. W lesie napotkali stado wilków, które się na nich rzuciło. Dziewczynę rozszarpały w jednej chwili, parobek zaś chciał się ocalić, drapiąc się na najbliższe drzewo, ale umarł z przestrachu. Rano przechodnie znaleźli go wszczepionego w pień drzewa, bez życia.

Z Wileńskiego piszą, że tam panują ciągłe mrozy, zamiecie śnieżne zasypują drogi tworząc nieprzebyte zaspy, a wilki mnożą się coraz bardziej i rozzuchwalają ogromnie. W braku trzód, pasących się w polu, polują one obecnie na psy, zakradając się aż na dziedzińce folwarczne. To też mnóstwo ofiar psiego rodu padło tej zimy, a stada głodnych wilków poczęły ukazywać się na drogach i niepokoić podróżnych.

Z Prebendowa, w powiecie Tarnowskim, doniesiono jednemu z pism wiedeńskich, że pojawiło się tam stado wilków, wyrządzając ogromne szkody. Pewnego dnia włościanin Paweł Piątkiewicz siedział spokojnie w chacie swej z rodziną i jadł obiad. Naraz wszyscy się zerwali, gdyż usłyszeli, jak pies ich, leżący na dworze pod oknem, zaskowyczał żałośnie, a po chwili wybiwszy szyby wpadł do izby, a za nim wskoczył do niej... wilk. Ludzie, znajdujący się w chacie, w pierwszej chwili osłupieli, ale i wilk stanął nie wiedząc co począć. Gdy jednak po chwili wszyscy w chacie poczęli krzyczeć, wilk przestraszony chciał napowrót wyskoczyć przez okno, ale niestety w podróży tej powstrzymał go gospodarz, który schwycił go za tylną nogę tak, że wilk głową na dół zawisł po drugiej stronie okna. Chociaż wilk się wydzierał, gospodarz trzymał go mocno, a tymczasem najstarszy syn Pawła wybiegł na dwór i siekierą roztrzaskał wilkowi czaszkę.

Warszawska *Gazeta polska* donosi z wioski Łuszy w powiecie benderskim, że tam wpadł niedawno, o świcie, wilk wściekły i zagryzł 9 krów i 18 owiec Na ryk zwierząt, przybiegł pasterz Czekan. Wilk rzucił się na niego, odgryzł mu kawał wargi i zaczął gryść rękę. Na pomoc przybył chłop Djakow i począł odciągać wilka za nogi, wilk zaś, porzuciwszy bezprzytomnego pastucha, porwał się na Djakowa. Kwadrans trwała walka pomiędzy człowiekiem i wściekłem zwierzęciem i nikt się na pomoc nie zjawił; wreszcie młody chłopak Michna wybiegł z chaty na pomoc. W jednej chwili wilk rzucił się na nową ofiarę; zerwał skórę z głowy i twarzy, poczem odgryzł mu kawał szczęki z 4 zębami. Mimo to chłopak bronił się zawzięcie, trzymając zwierzę za uszy. W momencie tym Djakow zabił wilka przy pomocy jakiegoś przechodnia, którego wilk także skaleczył Wszyscy pokąsani, bez nadziei życia, znajdują się w Odessie na stacyi sanitarnej, gdzie sposobem Pasteur'a doktorzy pragną ich uratować od wścieklizny.

Sekwestrowane zające. Koło Eisenbergu w Niemczech odbywało się wielkie polowanie, na które dzierżawca polowania zaprosił znaczną liczbę gości. W pierwszym zaraz miocie padło 71 zajęcy, co wielce uszczęśliwiło myśliwych; gdy jednak zniesiono zwierzynę do „sztreki“, zjawił się nagle komornik i dopełnił zajęcia na mocy wyroku, zyskanego przeciw dzierżawcy polowania. Naturalnie, że myśliwi stracili ochotę do dalszych łowów na rzecz jakiegoś Icka lub Mendla i komornik musiał poprzestać na zdobyczy jednego miotu.

Słynny pies, któremu bardzo wielu ludzi życie zawdzięcza, zakończył w ostatnich czasach życie w Anglii. Był on w r. 1881 i 1889 w Grenlandyi na okręcie *Eria* i kiedy zdarzyło się, że okręt został zaparty lodami, pies ów, Bob nazwiskiem, wybiegał na lodowce i wabił niedźwiedzie polarne, które ścigały go i padały ofiarą ze strony załogi. Tym sposobem załoga przez całą zimę miała zapas świeżego mięsa.

Aklimatyzacya ryb amerykańskich w Europie postępuje raźno naprzód, jak o tem świadczy sprawozdanie związku rybaków, świeżo ogłoszone we Frankfurcie. Niemiecki związek rybaków pozostaje już od lat 12 w stałych stosunkach z amerykańską *Commission of Fisheries*, tak, iż obie instytucye przesyłają sobie wzajemnie zarybek. Dotychczas czyniono próby z zarybkiem łososia kalifornijskiego i różnych gatunków pstrągów. Pierwszy zwłaszcza gatunek, *Salmo fontinalis*, przyjął się wcale dobrze w Styryi i Czechach. Najlepsze jednak rezultaty wydała aklimatyzacya „pstrąga tęczowego“, cyba ta bowiem z powodzeniem hodowaną być może w całej niemal Europie. Obecnie stowarzyszenia rybackie czynią próby z zarybkiem pewnego gatunku amerykańskiego okonia, który podobno należy do najsmaczniejszych swego rodzaju.

Krajowe Towarzystwo rybackie w Krakowie przysposobiło na rok bieżący 250 000 sztuk ikry łososia wiślanego, która pod koniec stycznia do kilku wylęgalni narybku rozesłaną została. Narybek ten wpuszczonym zostanie w maju do dorzecza Wisły, zaś 5000 łososiąt hodowanych będzie w stawku w Poroninie, które dopiero w jesieni wpuszczone zostaną do Dunajca, a 2000 sztuk łososia rzecznego amerykańskiego *(Salmo fontinalis)* do Morskiego Oka.

Nadmienić tu należy, że nad zarybieniem Wisły pracuje także Wschodnio-Szląskie Towarzystwo rybackie. W r. ubiegłym wpuściło ono w czasie od 5. do 21. maja 95.000 zarybku Dunajcowych łososi, wyhodowanych w wylęgalni Wiślańskiej, która teraz i zarybek łososi amerykańskich przysposabia, a nadte zarybkiem pstrągów w ilości przeszło 30.000 sztuk Wisłę i jej dopływy zasiliła.

Nowa ustawa o rybołowstwie ma być w ciągu b. roku zaprowadzoną w Królestwie polskiem. Według tej ustawy wszystkie wody podzielone będą na dwie kategorye: wolne i zamknięte. Za samowolny połów ryb w wodach zamkniętych winni będą podlegali karze, jak za przestępstwo przeciw cudzej własności; na łowienie w wodach cudzych należy mieć pozwolenie imienne. W miejscach, służących do rozmnażania ryb, wzbronione będą, nietylko połów, lecz i wszelkie roboty regulacyjne, wydobywanie piasku itp. W wodach wolnych połów będzie zakazany w pewnych terminach, lub w niektórych punktach, oraz niektórymi narzędziami i sposobami. Nad wykonaniem przepisów o rybołowstwie będzie czuwała w pewnych miejscowościach specyalna policya rybacka, której powierzone będą obszerne wody rybne, w innych zaś miejscowościach — zwykła policya; nadto ustanowieni będą inspektorowie rybołowstwa. Przepisy o rybołowstwie mają być opublikowane jednocześnie z nowem prawem o polowaniu.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.